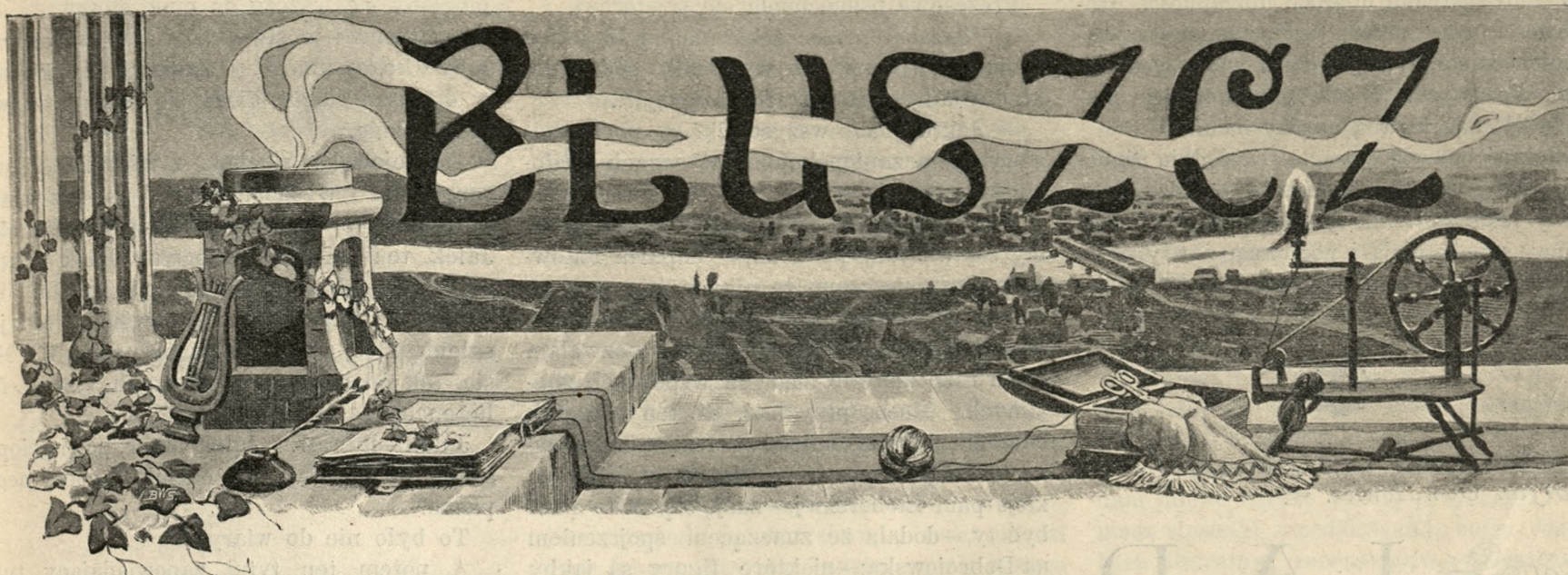




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Na codzień.



Jeśli nie w świecie całym, to w całej Eu-
ropie, społeczeństwo nasze uchodzi za jedno
z najgładszych, a nawet wytwornych. Opinię
powyższą zawdzięczamy z dawien dawna
sferze uprzywilejowanej, podróżującej dużo
i znaczną część życia poświęcającej rozryw-
kom i zabawom.

Czy do ogółu stosować ją można, to pyta-
nie, nad którym warto się namyślić.

Bo w czymże się przejawia gładkość na-
sza i wytworność?

W uśmiechu słodkim na powitanie gościa,
dowcipnej słów szermierce, zgrabnym ukłonie,
grzecznościach świadczonych, a zwłaszcza
mówionych ludziom obcym. Po za tem, ple-
ni się chwast brutalstwa, nieposzanowania
wieku, godności, zasługi, lekceważenie wszy-
stkiego i wszystkich oprócz siebie. Nie tylko
osławionej wytworności, lecz cienia ogłady
dopatrzyć się nie można.

Jednak obie istnieją; tkwią głęboko w cha-
akterze rasy, tem dziedzictwie z dziada i pra-
dziada -- ale nadano im dziś formę — stroju
świętecznego. To jest błędem zasadniczym;
uprzejmość, grzeczność, miłe w progach cu-
dzego mieszkania, w obejściu znajomych
bliższych, czy też dalszych, życzliwych, czy
też nieżyczliwych — to w kółku domowym
jedne z promieni świetlanych ozłaczających
życie.

Spojrzenie pogodne, obejście miłe, ustęp-
stwa od nawyków własnych — to cement,
którym szczęście się utrwała i spaja na moc.

A gdzież tego cementu najwięcej zużywać
należy?... pomiędzy małżeństwami, w gronie
rodzin, w stosunkach najpoufalszej i najści-

ślejszej zażyłości. W dodatku — koniecznie
na codzień to bezwarunkowo.

Zachowywana stale, uprzejmość wzajemna
małżonków, rodzeństwa bliższego i dalszego,
współlokatorów, towarzyszy pracy i t. p.
wzmocnia szacunek zobopólny; chroni też od
niespodzianek, jakie urządza nieraz tempera-
ment.

Nie idzie nam bynajmniej o ceremonie
chińskie, nie pragniemy też wskrzesić daw-
nych naszych, uciążliwych form grzeczności,
podług których, syn musiał w obec ojca pro-
stować się, jak struna i nie sięść, póki rodzic
nie pozwolił, ani się odezwać; to rzeczy
przestarzałe, zarówno jak tytuły: jegomość,
jejmość, pan brat, pani siostra, aś, aśka
i asińdzka.

Lecz złagodzone, zastosowane do epoki i do
ducha czasu, przepisy grzeczności są nie tyl-
ko monetą zdawkową, bez której obyc się
nie można — mają one znaczenie doniosłe pod
względem wychowawczym.

Ale trzeba je rozumieć, jak należy i oce-
niać.

Od wieku najmłodszego, człowiek, istota
towarzyska, poddać się musi mimowoli pew-
nym obowiązkom względem innych. Pierw-
szemi są właśnie te, na pozór drobne, bo lek-
kie i przyjemne, stanowiące podłoże kultury,
niby podścielisko siewu.

Przyzwoitość w obejściu, grzeczność, uprzej-
mość, wdrożone od dzieciństwa, stają się na-
wyknieniem. Trudno z niemi zerwać, niepo-
dobna ich się wyrzec.

Dopasowane w wieku dojrzałym, gniotą
i męczą, niby niewygodny bucik, albo ciasna
suknia; przy lada okazji sztuczna powłoka
pęka i odsłania skorupę szorstką, chropowa-
tą. Intelligencja, wykształcenie — to jeszcze
nie wszystko — na całokształt bowiem rozwo-
ju naszego składają się pierwiastki różnoro-

dne, wśród których wychowanie domowe gra
rolę pierwszorzędną.

Ale w wychowaniu tem najwięcej znaczy
przykład. Nie dość jest upominać, przestrze-
gać, pilnować każdego kroku dzieci; przy-
kład zarówno zły, jak dobry, rzeczy można,
w krew wchodzi, staje się częścią organi-
zmu — dziedzictwem.

Jakie więc dziedzictwo spada na młode
pokolenie, gdy ojciec i matka szorstkimi
wyrazami się traktują, wymówkami i pogroż-
kami obrzucają, kłócą się i godzą w obecno-
ści malców, gdy jedno drugiemu nie ustąpi
na krok, mając sobie za punkt honoru zwy-
ciężyć w lichej sprzeczce? A jakie czeka tę
rodzinę, w której pan i pani chodzą po do-
mu *na białe*, (latem negliz się rozluźnia z przy-
czyny upałów) bo ubiór ich krępuje, a u sie-
bie wszystko wolno i nikt nie ma obowiązku
się przymuszać?

Smutna sukcesja! nieszczęśni dziedzice!..

Te ofiary przykładu złego w „niekrepowa-
niu się” wyrosłe, idą pod pręgierz opinii
w wieku młodocianym za brutalne zaczepki,
zuchwalstwo i bezwstyd; kształcono je, uczo-
no nieraz bardzo dużo, pierwszego posiewu
nie zdołano wszakże stłumić: chwast wyrósł
i rozbijał.

Zdemoralizowani! mówi niejeden pan *biały*,
a panie *białe* mu wtórują, nie widząc naj-
częściej u swoich dzieci tych samych pope-
dów. Gdy zaś je dojrzą, ręce łamią, a przy-
tem się dziwią:

— Zkąd to przyszło? Dzieci tak pilnie
strzeżone! tyle nas kosztuje opieka nad nie-
mi! tyle edukacja!

„Niekrepowanie się” zrujnowało wszystko.

Bo to najpierwsze, z domu rodzicielskiego
pochodzące, złe czy dobre, choćby po latach,
wypłynie kiedyś na wierzch. Zarodek, tkwią-
cy w duszy, czeka sposobności, aby się wy-
dostać i rozwinąć.

Przeto skarbami dobroci, uprzejmości, troskliwości, grzecznością, ustępstwami wzajemnymi obdzielajmy się codziennie w naszych kółkach domowych. Niech przyzwoitość, obyczajność stale kwitną między nami.

Stokroć one więcej warte, niż słodkie uśmiechy „dla gości,” bo chociaż nie dadzą nam sławy ludzi *bajecznie sympatycznych*, ale rodzinę uszlachetniają i podnoszą; nie tylko na dziś i na jutro, lecz aż w przyszłe pokolenia.

Sz.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Maman Dobrojewska zrobiła minę skruszoną wobec wyrzutu prezesowej.

— Ach, moja droga, wiesz przecie, co za urwanie głowy miałam w tych ostatnich dniach właśnie!.. gdzie mi tam było zajmować się lekturą w tym czasie!.. chociaż gdybym była wiedziała, że to się Miszetty ty-cze...

Wzięła numer „Gazety” do ręki i zaczęła od końca przeglądać ostatni ustęp odcinka, z którego jednak nie umiała się polapać, co za związek mogło mieć to „Piekło miłości” z jej jedynaczką.

— Ja tu nie widzę nic o Miszecie, — rzekła, podnosząc oczy na przyjaciółkę, — może było co w poprzednich numerach?

Prezesowa uśmiechnęła się szyderczo.

— Chciałaś może, żeby nas wszystkich z imienia i nazwiska wymienił, podał dokładny adres i fotografię dołączył?..

— Jakto nas wszystkich? — pochwycił z wyrazem zaniepokojenia w oczach Pustopolski, — czyżby?..

— Zdaje się, że w tem „Piekło” znajdziemy się wszyscy po kolei, — odparła Palewska; — przypuszczam, że nikogo nie oszczędzi, bo w samym początku od razu wypro-wadził mnóstwo osób, w których pozwałam sobie rozpoznawać naszych wspólnych znajomych. Muszę przyznać, że ten początek udał mu się znakomicie!.. Jest tam opisane towarzystwo na five-o'clocku w domu jakiejś pani Złoborskiej, — zdaje się, że to masz być ty, — dodała ze znaczącym spojrzeniem na Dobrojewską; — niektóre figury są jakby żywcem zabrane z twego salonu.

— Co ty mówisz?!

— Czy podobna?.. i ja tam jestem? — dopytywał się z żywym zajęciem Izio, zaglądając przez ramię gospodyni do felietonu.

— Pana jeszcze niema, ale już wspominają o jakimś Czeczotce, który każdej z pań przyrzekł załatwić coś bardzo pilnego; założyłabym się, że tym Czeczotką pan będziesz.

Pustopolski się zarumienił i skrzywił ustą kwaśnym uśmiechem.

— A pani prezesowa siebie nie spotkała dotychczas? — spytał.

— Owszem!.. jest tam jedna postać niby do mnie podobna, ale za pochlebnie przedstawiona, abym się miała do niej przyznawać. Przyjaciółka domu, która co się odezwie, to powie coś mądrego i do rzeczy!.. matrona o siwych włosach i wyniosłej postawie arystokratycznej. No, z postawy, to

mogłoby się jeszcze do mnie stosować, ale ta matrona i te siwe włosy... to wskazywałyby kogo innego. Zresztą, zobaczymy w dalszym ciągu, kiedy się powieść roz-wijać zacznie.

Dobrojewska słuchała z mieszaniną roz-targnienia i wysiłonej uwagi na przemian; nie mogło jej się to w głowie pomieścić, aby Julek, ten pocziwy, zabawny Julek, z którego ona sobie nigdy nic nie robiła, był zdolny do napisania całej powieści i to z jej salonu, z jej otoczenia, z nią samą i z Mi-sią, tak od razu, w pierwszych trzech fe-lietonach!..

Julek — literat?.. Julek autor, powieściopi-sarz, drukowany w odcinku poczytnego pisma?..

To było nie do wiary!

A potem ten tytuł zapowiadający tyle i dający tyle do myślenia: „Piekło miłości;” w tem piekle bohaterką miała być, według wszystko wiedzącej prezesowej, jej Miszetta?.. Cóżby to znowu mogło znaczyć?.. w jakim sensie, w jakim charakterze opisywałby wła-sną kuzynkę?.. przecież nie w złym celu, nie dla skandalu?

Maman Dobrojewska uczuła, że jej na po-lieczkach pod delikatną warstwą pudru za-czynają zapalać się czerwone plamki, które zawsze w chwilach wyjątkowej ekscytacji występowały, jako zarodek żywych, nerwo-wych rumieńców, na jej twarzy.

O ile możności, starała się ich unikać, zwłaszcza wobec ludzi, którzy podziwiali jej śliczną, białą, świeżą cerę; miała prawo szczyć się nią i wyróżniać wśród światowych elegantek swojej sfery tem bardziej, że nie używała żadnych kosmetyków i sztucznych środków do utrzymania i podniesienia naturalnych wdzięków.

POGAWĘDKA.



V

Wiosna idzie, wiosna śliczna,
Z rozkwitaniem drzew i krzaczków,
Rozmarzona, poetyczna,
No i pełna.. kapuśniaczków.
Już ją światu obwieściły
Roztkliwionych wieszczów hymny,
Już ją głosi wietrzyk miły,
Bardzo miły — ale... zimny...
Już w Warszawie z swej skarbnicy
Sieje czary coraz świetniej...
Oto kurz mknie po ulicy,
Oto dzwoni tramwaj letni...
Oto w pismach inseraty
O stu willach na wynajem;
Oto w sklepach nawet kwiaty
Nie pachnące wcale — majem...
Oto w sercach czarodziejska
Pragnień iskra, marzeń nitka...
Słowem wiosna wielkowiejska,
Pospolita, szara, brzydka...

Za to na wsi — tam w bezkresie
Naszych równin, łąk i niwy,

W cichym gaju, w starym lesie...
Jakie cuda, jakie dziwy!..
Macierz ziemia wszystkie wdzięki
Przywołała do apelu —
O dajże mi z twej piosenki
Kilka tonów, drogi Elu!
Świetne blaski, tęcze, światła,
Morze dźwięków i koloru —
Bym je dzisiaj rzucił na tła
Przebudzonych skib ugoru —
I jak złotą nie uroczą,
W nieudolne wplótł dziś krosna —
I pokazał naszym oczom
Jakie cuda miewa wiosna...

Dajże Elu! Toć ich tyla
W poetyckiej masz sakiewce —
Trząsnąć jeno — a co chwila
Skrzą się cudnie w nowej spiewce
I przynoszą z niw rubieży —
W wielkowiejski kąt nasz ciasny —
Z naszej wioski podmuch świeży,
Taki luby, taki własny —
I wszystkimi strojny wonie
Smaragdowych łąk kobierca,
Wypieszczony w czułym łonie
Wydobyty aż „Z pod serca...”

Daj-że Elu! — bo mi trzeba,
Nim się całkiem pierś wystudzi,

Z podmiejskiego uciec nieba
I od miejskich uciec ludzi...
Trzeba, trzeba — aż duch rwie się —
By wraz z tobą mknąć po niwie,
Gadać z ziemią, hukać w lesie,
Dumać słodko, czuć pocziwie,
Zwiedzać szarych nędz siedziby,
Patrzyć w smutne chłopskie lice —
I wykradać z czarnej skiby
Wszystkie sny jej i tęsknice.
Lub biedz wspomnień lotem szparkim
W młode lata — gonić marylę:
Stare spiewki grzmieć z pocztarkiem,
Słuchać gwarzeń flinty starej;
W chłopskiej karczynie skoczyć w tany,
Z chłopską pierśią krztę poszlochać —
I te chaty, bory, łąny
Jak ty kochasz, tak — ukochać...

Jakże wtedy pierś zadyszy
Ukojeniem czarującym,
Że nie widzi i nie słyszy
Jak „Poranny” drze się z „Gońcem,”
Wzajem sobie sypiąc róże
Niezbýt grzecznych komplementów,
A to wszystko — miły Boże —
O tych kilku — abonentów...

I nie słyszałbym, mój Elu,
Jako jeden krytyk srogi,

Te występujące rumieńce zakłopotwały ją i zajęły w tej chwili więcej od sensacyjnej powieści kuzynka; rzuciła w lustro zaniepokojone spojrzenia i myślała:

— Za chwilę będę wyglądała, jak pomidor!.. Żeby tylko nikt więcej nie nadszedł!.. o, już mi na nos zachodzi, już cały jeden policzek czerwony!.. trzeba się będzie przypudrować na wszelki wypadek.

Prezesowa trzymała ją za rękę i z przejęciem mówiła:

— Widzisz Peppa, nie chciałaś mnie słuchać, kiedy cię w swoim czasie ostrzegałam!.. nie wierzyłaś i śmiałaś się, prawda?... pamiętasz?..

— Co do czego?

— No, co do Jula.

— Ach, co do Jula?..

— A teraz wyszło na moje!.. zawsze wychodzi na moje.

— To prawda, — przytwardzała Peppa w roztargnieniu, — zawsze wychodzi na twoje; ale co?..

— Jakto co?.. nie uważasz chyba, co mówię.

— Ależ uważam!.. Tylko nie wiem jeszcze, do czego zmierzasz.

Prezesowa się obruszyła i spojrzała na Pustopolskiego, jakby mu chciała powiedzieć:

— Narwana głowa, co?..

Zapaliła świeżego papierosa i mówiła dalej:

— Jestem pewna, że w tem „Piekło miłości“ Julek Dobrojewski będzie opisywał swoje własne uczucia i historie własnego serca; to się już od samego początku zapowiada. Może się teraz przekonasz nareszcie, że był zajęty Missetą i że się w niej kochał potajemnie od dawna, pomimo wszystkich pozorów przeciwnych?..

— Czyż być może? — wybuchnął Izio, — ależ to byłby dramat!

— Nie przerywaj pan!.. kiedy ja mówię, trzeba wpiérw wszystkiego wysłuchać; — skarciła go głosem wyroczni Palewska. — Otóż ta powieść będzie publiczną spowiedzią Julka. Co do mnie, nie mam żadnej pod tym względem wątpliwości. Bohaterka jest tak szczegółowo opisana, że nawet nie zapomniał o pieprzyku na małym palcu; wszakże Missetka ma taki pieprzyk, prawda?..

— A ma!.. przytwardziła żywo Dobrojewska, której się to podobało, że pieprzyk Misi został uwieczniony w literaturze. — Na seryo wspomina o tem?.. A to urwis!.. gdzie to jest?.. pokaż no Elzo!

— Poczekaj!.. przeczytasz sobie później, — powstrzymała ją prezesowa; — teraz chodzi o co innego. Powieść będzie czytało tysiące ludzi; po mieście się rozniesie, że to o Missetce, o tobie, o Tanieckim, zaczną robić komentarze, domysły, będzie krzyk, awantura, sensacya.

— Ach, to prawda!.. nie pomyślałam o tem. Biedna Peppa załamala ręce i prawie zrozpaczona wypatrzyła oczy na Prezesową.

— Że będzie wrzało, jak w garnku, to pewna, — ośmielił się zauważyć Pustopolski; — niewiadomo jeszcze, co wszystko będzie w tej powieści pana Dobrojewskiego.

Prezesowa położyła mu rękę na ramieniu takim ruchem, jak gdyby go pasowała na rycerza.

— O!.. widzisz, to się nazywa mówić logicznie i przezornie!.. Izio ma większy rozum, aniżeli ja mu przyznaję. Trafieś pan w samo sedno. Nie można wiedzieć, co będzie dalej. Poeci, literaci, artyści, kiedy są zakochani, miewają nazbyt bujną fantazyę, a kiedy popadną w rozpacz, to piszą czasem

niestworzone rzeczy. Pamiętajcie zawsze o „Dziadach“ i Mickiewicz; co on wszystko o tej biednej Marylli popisał!.. Ja tam Julka o nietaktowność nie posądzam, bo to przecież *un homme, comme il faut et très bien élevé*, ale zawsze pod świeżem wrażeniem utraty swego ideału, wszystkich nadziei, etc. etc. *vous savez*, Bóg raczy wiedzieć, co mu się z pod pióra wyrwało!..

— Więc cóż będzie? — spytała Dobrojewska złamanym głosem; — teraz to już za późno.

Prezesowa zaciągnęła się głęboko i wypuszczając z impetem cienki strumień dymu z ust, odrzekła:

— Niekoniecznie. Tu właśnie Izio może nam oddać bardzo ważną przysługę!.. Pan masz stosunki z redakcyami, znasz rozmaitych literatów, recenzentów, dziennikarzy; niepodobna, żebyś nie znalazł nikogo z „Gazety porannej.“

— Znam samego wydawcę i redaktora, — pochwalił się Pustopolski; — bywał u mnie na zebraniach wtorkowych, kiedyśmy mieli zakładać klub intelligencji. Jesteśmy z sobą w serdecznych stosunkach.

— Cudownie!.. Ja zawsze powtarzam, że ten Izio jest do wszystkiego i do niczego!.. ale tym razem poprawił sobie swoją opinię u mnie. Teraz pan tylko posłuchaj! *coute que coute*, musisz pan wydostać powieść Dobrojewskiego na jeden dzień, choćby na kilka godzin z redakcyi. Oni to dla pana powinni zrobić, to przecież bagatela!.. Przyniesiesz natychmiast do mnie, albo do Peppy, przełączniemy ją we troje i zobaczymy, czy tam niema przypadkiem jakich... jakich rzeczy *scabreux*, niestosownych do druku, zwłaszcza teraz, kiedy Missetta jest już mężatką. Choć ja tego nie przypuszczam!

Pojąc zółcią ostrz skalpela,
Już „Szopena“ wziął pod nogi;
I nie wiedzieć po co, czemu,
Pieśń, co serc poruszy krocie,
Na złość wszystkim — po swojemu
Najbrutalniej — nurza w błocie!..

Aniby mię obchodziły
Nasze miejskie małe sprawy,
Że most trzeci na lat kilka
Pono czmychnął gdzieś z Warszawy.
A z nim poszły, jak się zdaje,
Na wędrowkę nie trzydniową,
Elektryczne też tramwaje
Z upragnioną rzeźnią nową...

I patrzyłbym obojętnie,
Jak wśród prassy znów się wzmaga,
Wytepiana dotąd skrętnie
„Literatów“ istna plaga —
Co bez małej skry talentu
I bez zwykłej klepki piątej,
Teatralnych westibulów
Wycierają brudne kąty.
Gdzie bibułę który czerni,
Próżno pytać, mój lirniku —
Za to pełno ich w cukierni,
No i w pewnym teatrzyku;
Tam ich liczą na tuziny
I przyjmują co wieczora:

Gest wyniosły, harde miny,
Tytuł „pana redaktora“,
Wolne wejście za kulisy,
Drwiny z starszych dziennikarzy —
I czasami dla rozrywki...
Ten... tamtego... plask... po twarzy.

Czasem dziwno, mój spiewaku,
Po co krwią swą karmić tony,
I po górnym krocząc szlaku,
Braciom mnogie składać plony;
I po co cześć dla zawodu
W pracy zbożnej mieć za dźwignię —
Gdy w sukcesach — bez zachodu —
Byle blagier cię wyścignię?

Po co pisarz czy gazeta
Ma swą dobrą cenić sławę,
Gdy błazeństwo lub tandeta
U większości wygra sprawę?
Na to dosyć: Dużo krzyku —
I z reklamą bliższa styczność...
Słusznieś mówił, o Asnyku:
„Taki wiesz — jaka publiczność!“

Ale chociaż zło tak rośnie
I przeraża swym zalewem,
Ty wiesz, Elu, jak to w wiosnie
Wietrzyk nowym krzepi wiewem;
Jak osusza łączne wody,
Tępi brudnych błot kałuże

I wyłania świt pogody,
By zakwitnąć mogły róże.
Toć i w życiu ludzi, krajów,
Grup społecznych, w rodzin światku,
Zdarza się wrzód obyczajów,
Zima sroży się upadku...

Ale z czasem zło przechodzi —
Wraca wiatr opamiętania,
Wznosi tamy dla powodzi,
A zbiorniki błot rozgania.
I znów zdrowy ster żywota,
Aby równo wiódł przez tonie,
Oczyszcwszy z resztek błota,
W czyste, zdrowsze składa dłonie...

Tak być musi i tak będzie,
Więc rozpacz nie należy...
A gdy wiosna nie już przedzie,
Gdy już podmuch płynie świeży,
Gdy już słońko śle swe strażę,
I na krzewie pąk rozkwita;
Gdy już bociek na moczarze...
Gdy już świta... świta... świta:
Ufni w siłę odrodzenia,
W ideałów świt radosny,
Na złość zimie ogłupienia,
Wzniesmy okrzyk na cześć — wiosny!

Artur Gliszczyński.

— A jeżeli są?—wtrącił Izio, któremu się dzisiaj wiodło z dobrymi uwagami.

Prezesowa zmarszczyła brwi poważnej Junony i po chwilowym namyśle zawyrokowała:

— Jeżeli są, to się wtedy postaramy, aby tego nie drukowano.

— Jakim sposobem?

— Sposób się znajdzie, musi się znaleźć!.. Zapamiętaj pan to sobie, że na wszystko w świecie są sposoby, tylko na śmierć i na głupotę ludzką niema. A zatem, stało na tem, że Izio spełni swoją misję i postara się o powieść Julia w rękopisie. Bez „Piekle” nie pokazuj mi się pan na oczy, bo panu takie piekło zrobię, że mnie czterdzieści wieków popamiętasz!... A ty, — zwróciła się do Dobrojewskiej, — do czasu nie wypaplażę sama przypadkiem, że wiesz o czemkolwiek i że się czego domyślasz. Tobo znaczyło tyle, co zapalić sobie własny dach nad głową. Szczególniej przed Miszetką i swoim zięciem nie zdradź się z niczem!... Przypieprzyłabyś im pięknie miodowe tygodnie. Nie wiesz, czy Taniecki trzyma „Gazetę poranną”?...

— Nie wiem, ale dobrze, że mi przypomniałaś, — muszę zaraz kazać zaprenumerować. Gdzie to się posela?... Mój panie Izio, możeby pan przechodząc...

I kontenta, że ma pretekst do wyjścia z salonu, aby te nieszczęsne rumieńce przysiąść choć trochę puszką od pudru, wyszła do swego gabinetu niby napisać adres i przynieść pieniądze na całoroczną prenumeratę.

Pustopolski pozostawszy sam z prezesową, przysiadł się do niej bliżej i w zaufaniu zaczął ją wybadywać co do stosunku Julia z Miszetką.

— Więc na seryo pani przypuszcza, że się kochali ci młodzi?... Ależ w takim razie, dlaczegoż panna wyszła za Tanieckiego, nie za niego?...

— Czy się kochali oboje, tego nie wiem, ale że Dobrojewski szalał za nią, choć tego po sobie nie dał poznać, tego jestem pewna. Pan wiesz, że ja mam oko Argusowe do takich rzeczy!... zresztą, miałam i inne dane. A że się nie pobrali, to najpierw na przeszkodzie stało kuzynostwo dość blizkie, potem ta narwana Peppa, której się Taniecki podobał więcej od wszystkich i myślała, że Pana Boga za nogi złapie, kiedy takiego zięcia dostanie, no a wreszcie i sam Julek głupstwo zrobił, że się nigdy formalnie nie zdeklarował.

Pustopolski szybko wyrzucił z oka, głowę zadarł w górę i wpatrzony w sufit, rozmyślał z przymrużonemi powiekami.

— Hm, hm, hm!... teraz to i ja zaczynam niektóre rzeczy lepiej rozumieć — odezwał się po chwili. — Co prawda, gdybym był matką — dodał z uśmiechem, — co na szczęście byłoby niepodobieństwem, to Julkowi Dobrojewskiemu nie oddałbym córki bez długiego namysłu i zastrzeżeń.

— A to czemu, ciekawam?

Rozmowa jednak musiała się przerwać, bo w tej chwili weszła do salonu Solówna z napęczniałą kopertą w ręku, z oczyma zaczerwienionymi, jakby od łez, z miną Elegii

w stylu bardzo secesyjnym i smętnym głosem spytała:

— Przepraszam państwa, jaki to jest numer więzienia mojej najdroższej Misieczki?.. Aleje Jerozolimskie, to wiem, niestety, ale domu nie pamiętam.

Poprawiła sobie ciemne włosy, naczესane na skronie i podwinięte za uszami, przetarła matowo-błądą twarz histeryczki dłonią o cienkich, długich, delikatnych i przezroczystych prawie palcach, zatrzymała się pośrodku salonu z oczyma błędnie zapatrzone mi w przestrzeń i nie spoglądając na Izia, zagadnęła go:

— Panie Pustopolski, czy pan przypadkiem nie będzie w tamtych stronach? Zależy mi bardzo na tem, aby ten list dziś jeszcze Miszetta dostała do rąk własnych.

Biedny Figaro salonów westchnął z miną ofiary i spojrzał na chudą, cienką, wygiętą ku niemu z przesadną gracyą, jak paragraf, postać Justynki, ale rękę wyciągnął po list z przyzwyczajenia, nie mogąc odmówić życzeniu kobiety.

Solówna przechyliła głowę przez ramię, obrzuciła go powłóczysem spojrzeniem przez chwilę i westchnawszy, jakimś przeczulonym głosem rzekła:

— Pan by to na prawdę zrobił?... O, jaki pan anielsko dobry!

Prezesowa parsknęła śmiechem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

Rzymianka ówczesna, na równi z Rzymianinem skażona, równie — a może i bardziej — czegoś pragnęła i szukała. Chociaż praw społecznych pozbawiona, prawa intelektualne posiadała; wolno jej było czytać i obcować z uczonymi. Więc i ona także po tejże drodze błąkała się, goniąc za czemś niedościgłym i nieujętem, a rozpaczliwie pożądanem, i ona także nie dogoniła i nie ujęła moralnego zadowolenia. To też jej bystry instynkt duchowy szybko odczuł — gdzie ratunek — i wnet kryjówki podziemnego Rzymu zaroily się nie tylko szukającami pociechy w swej niedoli nędzarkami, ale także znakomitami matronami, które zawiodłszy się na pozornem szczęściu, przyszły szukać prawdziwego.

Przytaczam jeszcze jeden urywek z poematu, którego wstęp był zamieszczony powyżej, ponieważ podaje on historię takiej właśnie duszy kobiecej:

Flawia Augusta, znakomita Rzymianka, wdowa bezdzietna, młoda, piękna i wykształcona, dowiedziawszy się od swej starej piastunki, Greczynki Zoe, że w podziemiach rzymskich odprawiają swe obrzędy wyznawcy nowej doktryny, idzie z nią do katakumb, aby się zapoznać z tą dziwną wiarą.

O świecie, powróciwszy z nocnej wycieczki, Flawia opowiada:

„Więc zażądałam płaszcza i zakrywszy lice, Wyszłam z nią. Słysmy spiesznie przez miejskie ulice Za miasto. Roma życiem kipiała, jak we dnie: Lecz w ziemię wzrok się kloni, uczciwa twarz blednie, Patrzę na tego życia nocnego sromotę, Co się budzi, gdy słońce zamknie oko złote. Widziałam w uniesieniu tańczące namiętnem, Odurzone Falernem i krwi wrzającej tętne, Mające nagie łona, farbowane twarze Hetery; a wkoło nich Romy luminarze, Optymaci, wodzowie, mędry i poeci Krążyli, jak cmy nocne. Chłopcy, prawie dzieci — I starcy, prawie trupy — z jednej mętnej czary Pili do niepamięci zatrute nektary, A pijany filozof śpiewał na ulicy, Oparty na ramieniu platnej tanecznicy. Widziałam propetora z cenzorem pod ręce, Dających chętnie ucho bezwstydną piosence, Przez uliczne śpiewaczki zawozone chórem... Widziałam, jak pod ciemnym przemknęła się murem Sama jedna w przebraniu, biała i czerwona Od różu i bielidla, szlachetna matrona, A młodziutka jej córka polyskiem kaganka Z ukrycia znak dawała, wabiący kochanka... Szłam dalej, — i widziałam obok pychy złota, Co na lachmany nędzy blask jaskrawy miota, Widziałam roje żółkłych, zapadniętych twarzy — I brudne, nagie dzieci rodziców-nędzarzy — I bladą młodą matkę, która w kupie śmieci Szukała skórek chleba dla zgłodniałych dzieci... Widziałam proletaryat bez szaty i dachu, Jak przed bogaczem zginał kark w pokornym strachu, A z daleka wygrażał pięścią zaciśniętą Za to, że na dyamenty chleb od ust mu wzięto... I widziałam, jak człowiek człowieka był katem, — Jak ciało niewolnika siniało pod batem, — Jak pan za złote włosy ciągnął przez ulicę Do plugawego domu młodą niewolnicę... Och! widziałam tę Rome, co przy blasku słońca Przyświeca ziemi całej od końca do końca, Strojna w płaszcz swojej chwały, w koronę swej mocy, — Widziałam ją bez płaszcza i korony — w nocy...

Wyszłam w końcu za miasto i chłonełam chęciwie Ten wiatr czysty i wolny, co buja po niwie — I słuchałam z rozkoszą tej północnej ciszy, W której się tylko bicie swego serca słyszy; Potem weszłam w jakiegoś otworu paszczękę, Moja Zoe po ciemku wiodła mnie za rękę W dół, po kamiennych stopniach. Słysmy długo — długo, Aż blysło wązkie wniście bladą światła smugą, — Byłyśmy w katakumbach. Galerye podziemi Płatały się, pogięte liniami krzywemi, A na każdym zagieciu kaganek ponury Rzucił blask mdły i drżący na wilgotne mury. Słysmy po tych zakrętach pospiesznymi krokami, Aż rozwarł się przed nami kurytarz szeroki, Co biegł gdzieś w dal bez końca i ginał w pomroce. Po obu jego stronach, wykute w opoce Czarne nisze się wryły w twarde łono skały, A w tych niszach kamienne sarkofagi stały. Przy każdym mała lampka lśniła, jak punkt złoty I pachły jeszcze różą zwiedłych wieńców sploty.

Było tam bardzo cicho, lecz nie było pusto: Coraz to jakaś postać, owinięta chustą, Spadającą, jak całun ku stopom od głowy, Mijała nas, cichemi pozdrawiając słowy — I sunęła w dal ciemną, jak widmo grobowe, Splótłszy ręce na piersiach i zchyliwszy głowę. I my też idąc cicho, jak te mary blade, Wstąpiliśmy za niemi pod wniście arkade.

W pięknie sklepionej auli przestronnej i chłodnej, Z tysiąca małych lampek płynął blask łagodny, — Z dwóch stron, za filarami, przedzieleni nawą, Stali na lewo męże, niewiasty na prawo, — W głębi był na wzniesieniu stół, zasłany białą, Na nim chleb leżał, wino w złotej czarze stało, I tkwiły, wśród gałązek palmy i oliwy, Dwa na krzyż zbite drewna. Ofiarnik sędziwy Przewodniczył modlitwom — i nad tłumem głowy Unosił się do góry szmer cichy, miarowy,

Niby szum morskiej fali, gdy zwolna uderza
Równym, spokojnym rytmem o skały wybrzeża.

Stałem obok wniścia w młodszych niewiast gronie,
Lecz gdy ofiarą czarę ujął starzec w dłonie,
Wtedy za próg świątyni odeszło z nich kilka
I mnie też wzięły z sobą, rzekłszy: „Jeszcze chwilką —
„A spełni się najświętsza Wiary tajemnica,
„My zaś jeszcze niegodne spojrzeć Bogu w lica.“

Zawarto drzwi za nami. Cisza była w sali,
Potem drżący głos starca odezwał się w dali,
Potem hymn uroczysty zabrzmiał wielkim chórem,
A głos popłynął echem wspaniałem — ponurem —
Z żalumu do żalumu, jakby w każdej niszy
Każdy zmarły z grobowej przebudził się ciszy.
A potem drzwi rozwarło — i znów ciche cienie
Przesuwając się zwolna, nikły jak widzenie.

Zostałam sama jedna w mrocznym zmarłych gmachu,
Lecz był tam taki spokój, że nie czułam strachu,
I patrzyłam, jak we śnie na te sarkofagi,
Które majestat smutnej otaczał powagi,
Aż mnie zbudził cień długi, co padł płamą ciemną,
Gdy moja towarzysza stanęła przede mną.
Za nią szedł ku mnie kapłan, co składał ofiarę,
Dziwnem pięknem jaśniało to oblicze stare,
Wspaniałe w swej pogodzie, w swych linii czystości,
Jak starożytna rzeźba ze słoniowej kości.
Wysoka postać, prosta, jakby u młodzieńca,
Wysokie czoło, lśniące z pod srebrnego wieńca
Siwych włosów, spokojny majestat wyrazu,
Dostojność ruchów, poznać dawały wyrazu,
Że ten starzec posiada jakąś wielką władzę,
Jakaś godność piastuje w monarszej powadze.
Gdy zbliżył się, szepnęła mi Zoe do ucha:
„To mąż, który na ziemi tylko Boga słucha,
„Nasz arcykapłan...“ Wstałam, on nad moją głową
Wzniósł ręce, szepnął jakieś tajemnicze słowo,
Spojrzał w górę, a potem przy kamiennym grobie
Na stopniu siadł i miejsce wskazał mi przy sobie —
I ozwał się z łagodną, spokojną powagą:
— Tak młoda, a już życie całą prawdę nagą
Swojej smutnej nicości poznać tobie dalo,
Już obiecało tyle — spełniło tak mało —
I nie zgasiwszy pragnień swoim źródłem mętne,
Już oblicze zwątpienia naznaczyło piętnem...
Cierpisz, a nie wiesz czemu?... Tęsknisz — nie wiesz za
czem?...]

Serce nieutulonym lka ci w piersiach płaczem —
I ciągle za czemś goni — ciągle czegoś szuka —
A bogactwo — dostojność — uroda — nauka —
Nie mogą dać ci szczęścia, co błysnie i znikną,
Jak zwodnicza uluda błędnego ognika!...
Wszystko ciebie zawiodło — wszystko nuży — rani
I czujesz w sobie próżnię bezdennej otchłani —
I dałabyś twą mądrość, wdzięki i dostatki
Za trochę wiary dziecka lub miłości matki —
I dałabyś twe złoto, perły i rubiny,
Za w dal gdzieś uniesione złudzeń pajęczyny?...
Czy nie tak, córko moja?...

Odrzekłam wzruszona:

— Starcze! jakim ty wzrokiem patrzysz tak w głąb łona?
Zkąd ty mnie znasz tak dobrze?...

— Zkąd mi jest znajomy

Ten stan ducha współczesnych?... ten typ dziecka Romy?...
Odparł: Romy, co stoi na potęgi szczycie,
Z wypisanym na czole wyrazem: *przeżył*?...
Romy, która wszechstronnie pyszna powodzeniem,
Nie chce wiedzieć, że wielkość próżnem jest złudzeniem,
Jeżeli swoim szczytem nieba nie dosięga?
Która mniema, że ludzka mądrość i potęga
Może starczyć za wszystko — i zastąpić może
To, co więcej niż ludzkie, — bo to, co jest Boże? —

Roma jest dziś jak człowiek, który wydarł ziemi
Wszystko, co objąć zdola żądzami cheiwemi,
A napasłszy do syta swą pychę zuchwałą
I swoje samolubstwo i zmysły, i ciało —
I przewrotne popędy skażonej natury, —
Staje u kresu pragnień smutny i ponury:
Bo jak przejrzały owoc obsiadają osy,
Tak jemu w sercu brzęczą rozpaczliwe głosy,
Co z przesytu i nudy legnąc się obficie,
Obrzydzeniem do życia zatrują życie —
I szepcą z zawziętością, złośliwą, upartą,
Że wszelki byt jest nędzą, obola nie warta...

I prawda... byt jest nędzą, nie wartą obola,
Jeśli człowiek, jak rolnik, co wyniszcza pola
Byle jeden zbiór dały, nie pomyśli o tem,
Że musi być coś jeszcze po za tym żywotem,
Skoro duch niespokojny i niezem nie syty,
Wciąż na coraz to wyższe iść pragnący szczyty,
Ostrzega tem przecuciem, celu nieświadomem,
Że ziemia dla nas tylko jest pielgrzymim domem.

Tak! w duszy lśni wskazówka, w duszy tkwi przestroga
Dokąd dążyć potrzeba — i którędy droga;
Ale Roma, na głosy te wewnętrzne głucha,
Pogardziła dla ciała tem, co idzie z ducha,
Więc też duch ją opuścił — i to wielkie ciało
Bez nieśmiertelnej iskry będzie wciąż konało,
Aż się strawi gorączką pychy i zwątpienia —
Aż lek się w proch zamieni, jak się w proch zamienia
Wszystko, co jest bezduszne, co jest tylko ciałem...
Chyba... chyba, że jeszcze w ciele tem schorzałem
Cudownie nowem życiem zatętni krew stara —
Chyba Romę uleczy z tej choroby — wiara...
A ty, córko, chcesz wiary?...

— Chce! rzekłam gorąco;

Lecz gdy jej szukam, myśli zwątpieniem się mącą...
On mi na to:

— Bo szukać potrzeba inaczej:

Bóg wszystko ma — i wszystko proszącym dać raczy.
— Jeżeli jest... szepnęłam; jeśli nie jest mýtem...
Któż zdola dowodzeniem wykazać niezbitem
Pewność jego istnienia?...

— Niezbitem?... rzekł żywo;

Kto chce — ten sofizmatów płatanną krzywą
Wszystko zbije; lecz kto ma sąd prosty i zdrowy,
Serce szczere i prawe, — ten brzmieniem słowy
Zwieść się nie da, pozorem lśnącym nie zaślepi,
Bo świadectwem rozsądku swoją wiarę skrzepi,
Dobyszy jej wprzód z serca. W sercu, w sercu trzeba
Szukać wiary, — bo ono, jak zgłodniały chleba
Wciąż czegoś tęsknie łaknąć — jej łaknie bezwiednie;
Bo jego sny o szczęściu, jego mrzonek brednie,
Są głosem krwi, co ciągnie do Rodzica dzieci,
Są pożądaniem Boga, które w duszy nieci
Owe wieczne tęsknoty...

Polóż dłoń na piersi:

Tam twoi przyjaciele mieszkają najszerzej —
Dobre instynkty serca; zaufaj im, — oni
Uczą kochać i wierzyć. Polóż dłoń na skroni,
Tam znajdziesz przewodnika: tę roztropność zdrową,
Co swoją pełną szczerą prostotą wymową
Zawsze powie ci prawdę; zawieraj jej — a ona
Zaprowadzi cię w Twórcy wszechbytu ramiona.
Ona to wątpliwości rozetnie, jak nożem,
Ona to tak ci powie o istnieniu Bożem:
Gdyby ci dowodzone, że w misternej sieci
Tych podziemnych galeryi żadna myśl nie świeci,
Że bez celu, bez planu spletał się z sobą,
Złączyły pożyteczność z poważną ozdobą,
Że odpływ wód, lub inna bezrozumna siła
Te filary w porządku ścisłym ustawiła,
Wyciosała arkady, framugi załomy; —
Gdyby ci dowodzone, że traf niewidomy
Rzeźbił na sarkofagach godła, pisał daty,
Prawidłowe sklepienia zbudował przed laty,
Że same kształt pomników przybrały te bryły
I ot, te się kaganki same zapaliły, —
Cóżbyś na to odrzekła?... A przecież w naturze
Mędrszy plan, niż w budowy symetrycznej murze;
Przecież trudniej trafowi zrobić muszkę, ziółko,
Niż wyrzezać na skale regularne kółko;
Łatwiej bezmyślnej sile ustawić kolumny,
Niżeli w garstkę prochu wlać umysł rozumny, —
A kaganek z pewnością sam zatlić się może,
Jeśli słońce się samo zatliło w przestworze.

Może powiesz, że tak się dzieci przekonywa?
O! wierzał! że jest prostą wszelka myśl prawdziwa:
Człowiek dlatego błądzi tak często, tak snadnie,
Że nie dowierza temu, co łatwo odgadnie,
Że tonąc w dociekaniu mglistem, nieujętem,
Widoczną rzeczywistość odrzaca ze wstrętem,
Pogardzając nią pysznie za to, że tak łatwa,
Iż się jej z ust męczynnych uczyć może diatwa.

Bywa, że wasi mędrce godzą się na jedno
Z nieuczonych umysłów logiką bezwiedną —

I głoszą, myśli proste spletał się z sobą,
O pierwiastku wszechbytu i o twórczej sile;
Lecz tę każdy ich system nazywa inaczej,
Gdy my zwiemy ją Bogiem. Wszystko nam tłómaczy
To słowo, — bo choć cel swój Bóg nam nie raz skrywa,
Lecz wszystko robi dobrze, bo w nim jest prawdziwa,
Najdoskonalsza mądrość...

— Może ta potęga...

Odparłam, jest fatalna, jak przeznaczeń księga?
Ta istota, co może ślepo tylko działa,
Dlaczegoż sama w sobie ma być doskonała?
Zkąd wiesz, że jest mądrości świadomej ogromem?...
— Ztąd, odrzekł mi, że słusznie po dziele widomem
Zdolność niewidzialnego sądzimy artysty:
Na greckiego posągu spojrzysz kontur czysty,
Na skamieniałe mistrza ideały mgliste,
A zawołasz: Geniuszem Fidyas był, zaiste!
Znać, że podniosły umysł, że duszę miał piękną,
Gdy głazy w dłoni jego taką myślą mięknął!
Więc słusznie sądzi zdrowy nasz zmysł, gdy orzeka
Że Ten, co tak kunsztownie wyrzeźbił człowieka,
Co uczynił go zdolnym nad znikomość świata
Wzlatywać w nieskończoność, jak ptak w obłok wzlata,
Że ten Mistrz, w dziełach swoich godzien wiecznej chwały,
Jest wszechdobry, wszechmądry i wszechdoskonały!

— Dobry?... rzekłam z goryczą, dobry — gdy ja cierpię?...
Gdy każdy twór żyjący w bycie boleść czerpie?...
Gdy skuta — zbuntowana — i rozdarta dusza,
Cierpi wciąż odnawiany ból Prometeusza?...
Obejmij wzrokiem ziemię, jak sięgniesz daleko,
Policz wszystkie lzy gorzkie, które z oczu cieka,
Porachuj krwawe krople, które płyną z czoła,
Zlicz te bóle, te nędze wszechstronne dokola,
A włożywszy to wszystko w sprawiedliwą wagę,
Mów, że Bóg twój jest dobry — jeśli masz odwagę!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Józef Elsner.

(W pięćdziesiątą rocznicę śmierci).



Józef Ksawery Elsner, znakomity muzyk i kompozytor polski, urodził się na Szlązku w miasteczku Grotkowie w dniu 29-ym Czerwca 1769-go roku. Rodzina jego była pochodzenia szwedzkiego: jeden z jego przodków, szlachcic szwedzki, za czasów króla Zygmunta III-go osiadł na Szlązku i dał początek polskiej linii swego rodu, z której właśnie wywodził się ojciec kompozytora, Ksawery, ożeniony z Barbarą Matzkin.

W młodości Elsner, który nauki początkowe otrzymał w mieście rodzinnem, lubił często przysłuchiwać się, jak ojciec jego grał na arfie, a brat matki na amorce i ztąd wzięło początek jego zamiłowanie do muzyki.

Poświęciwszy się nauce śpiewu, młody Elsner, brał często udział w chórach w miejscowym kościele parafialnym, a następnie we Wrocławiu, w kościele OO. Dominikanów, gdzie pobierał dalsze nauki.

W młodym wieku, nie znający jeszcze życia, świata i ludzi Elsner stracił rodziców — i odtąd własną pracą utrzymywać się musiał. Szanując wolę zgasłego ojca, którego pragnieniem było widzieć syna duchownym — wstąpił Elsner na wydział teologiczny, gdzie pilnie pracował, nie zaniedbując jednak ani śpiewu, ani gry na skrzypcach, w której się wówczas rozmiłował.

Nagła choroba i inne przeszkody nie dozwoliły mu wszakże kontynuować nauk roz-

poczętych na kursach teologii; porzucił je więc młody Elsner i odtąd muzyce tylko poświęcił swoje siły.

Jeszcze w dzieciństwie, nieobeznany z wszystkimi zasadami muzyki i kompozycji, próbował Elsner pisać nuty, a owocem tej pracy był „Motet” na dwa dyszkantowe głosy: „Ave Maria, gratia plena,” który zwrócił już wówczas powszechną uwagę na obiecującego młodzieńca.

Po porzuceniu nauk, oddał się Elsner pracy całkowicie: zaczął tworzyć naprawdę i wkrótce zyskał sobie nawet pewien rozgłos.

Pierwszym człowiekiem, który ocenił zdolności Elsnera był Jackel, nauczyciel gry na fortepianie, który tak mocne powziął dla niego przywiązanie, że zaopiekował się nim, jak drugi ojciec, a pragnąc, aby utalentowanemu młodzieńcowi zawód artystyczny nie dał znać biedy materialnej, skłonił go do uczęszczania na kursa medycyny.

W dziewiętnastym roku życia wstąpił więc znowu Elsner w mury szkolne, „aby tymczasem zająć się praktycznie nauką, która w każdej chwili życia mogłaby mu zapewnić byt spokojny.

Sławni wówczas profesor Morgenbesser przyjął go do grona uczniów, a rodzinne miasto Grotkowo, dumne, że z czasem mieć będzie własnego lekarza, wyznaczyło mu stypendium.

Ale niedługie były dni powodzenia. Morgenbesser zmarł wkrótce potem, a Elsner udawszy się na dalsze nauki do Wiednia, dużo tam biedy musiał wycierpieć, w końcu zaś zapadłszy ciężko na zdrowiu, zmuszony wyczerpać wszystkie fundusze, pograżył się w nędzy.

Ale Opatrzność nie opuściła młodego Elsnera i pozwoliła mu dźwignąć się z choroby i biedy: jeden z jego kolegów ze szkół wrocławskich dał mu u siebie przytułek.

Muzyce odtąd jedynie postanowił się oddać Elsner, a porzuciwszy medycynę przyjął miejsce skrzypka w orkiestrze w Brünn, zyskując sobie zarazem wziętość, jako nauczyciel.

Na początku r. 1792-go spotkało Elsnera niezwykle odznaczenie: oto ofiarowano mu posadę dyrektora orkiestry, która ze Lwowa miała się udać do Warszawy na koncerty.

Ale nie dojechał Elsner do Warszawy: gubernator Galicji hr. Brigido, zachwycony usłyszaną na koncercie we Lwowie symfonią, skomponowaną przez Elsnera, zatrzymał go w tym mieście.

Przez lat siedm pracował tu Elsner, komponując dużo dla teatru: napisał między innymi dwie opery (w r. 1794-ym) „Osobliwi bracia” (do własnego libretta) i „Przebrany sułtan” (do libretta Bretschneidera), a gdy przybył do Lwowa teatr polski Bogusławskiego, poświęcił swą pracę Operze narodowej.

W tym czasie, pragnąc napisać operę polską, nauczył się języka polskiego, którego prawie nie znał, i ułożył muzykę do melodramatu Bogusławskiego „Iskahar, król Guaksary,” który zdobył sobie duże powodzenie, w znacznej mierze zawdzięczając je pieśniom Elsnera, które śpiewano na ulicach, tak się stały już popularne.

Jeszcze większy rozgłos zyskała opera „Ama-

zonki,” co zdecydowało o losie Elsnera; odtąd postanowił na zawsze pracę swą ofiarować scenie polskiej.

Następne lata życia Elsnera, to już lata tryumfu jego pieśni. Nie zaniedbując muzyki kościelnej, pisał on także dzieła religijne, o nastroju wysoce podniosłym. Ogółem stworzył 105 dzieł religijnych, z których „Oratorium Męki Zbawiciela,” „Beatus vir,” „Offertorium,” „Hosanna Synowi Dawidowemu” — do najznakomitszych są zaliczone.

Jako dyrektor Opery Polskiej, jako pedagog, wysoko dźwignął sztandar godności narodowej, a gorąco pragnął podnieść znaczenie i wpływ muzyki polskiej; dokazał tego, że współcześni, rozmiłowani w muzyce włoskiej, zaniedbali ją zupełnie i do teatru polskiego uczęszczać poczęli.

Trudno tu wyliczyć wszystkie prace Elsnera: dość powiedzieć, że w jednym tylko roku 1808-ym stworzył pięć oper, z których „Śniadanie trzpiotów” najwięcej miało powodzenia.

W r. 1809-ym powstały „Leszek Biały,” w r. 1818-ym „Król Łokietek” i w r. 1820-m „Jagiello w Tręczynie” zamykają chlubny okres działalności Elsnera na polu teatralno-dramatycznym; odtąd, zrozumiałwszy doskonale, że trzeba ustąpić miejsca młodszemu, przestał Elsner pisać dla sceny, nie zaniedbując wszakże muzyki i pedagogiki.

Odtąd przez lat czterdzieści blisko pracował znakomity kompozytor na niwie społeczno-artystycznej, już to jako rektor Konserwatorium muzycznego (1823), już to jako profesor w Wydziale sztuk Pięknych w b. Uniwersytecie Aleksandrowskim.

Jakkolwiek duże są zasługi Elsnera, jako twórcy i dyrektora orkiestry, niemniej może zbladłaby pamięć jego imienia, wobec późniejszych dzieł potomnych, przewyższających Elsnera o głowę, gdyby nie to, że — jeśli w sercach i pamięci naszej skona on sam — muzyk-kompozytor — to jednak pozostanie, jako mistrz Chopina, z którym związały go losy.

Tak jest: Józef Elsner, jako ten, który, udzielał nauki harmonii i kontrapunktu genialnemu twórcy „Marsza pogrzebowego” pozostanie zawsze jednym z tych mężów dostojnych, o których wspomina historia.

„Jak Perugino” — słusznie zaznacza Ferdynand Hösick — który głównie dlatego przeszedł do potomności, iż uczył malować Rafaela, podobnie i Elsner wspomnianym będzie po wszystkie czasy, jako ten, który był „wielce szczęśliwym nauczycielem” Chopina...

Czyż możemy zapomnieć o tym, dla którego nasz ukochany Chopin całe życie żywił najgłębszy szacunek i synowskie prawie przywiązanie, którego mienił się zawsze wdzięcznym uczniem?

W Lutym 1844-go roku dotknięty apopleksją, utracił władzę w ręce prawej i nodze, i odtąd spokojnie znosił to kalectwo, ciesząc się myślą, że wszystkie swoje siły poświęcił pracy dla dobra kraju.

Osiadłszy na wsi, w kolonii zwanej „Elsnerówka,” żył jeszcze lat 10, żywo interesując się do ostatniej niemal chwili życia sprawami teatru i muzyki, którą tak ukochał.

Zmarł w dniu 18-ym Kwietnia r. 1854-go

w Elsnerówce, pozostawiając po sobie pamięć zacnego człowieka i znakomitego artysty.

Kraj cały wziął udział w oddaniu ostatniej posługi słynnemu muzykowi, a żal powszechny ogarnął serca i dusze tych, którzy go bądź osobiście, bądź z dzieł tylko znali. A chociaż zgasł człowiek, pozostał wielki duch, który żyje dotąd w pracach twórczych...

I teraz, przypominając społeczeństwu dzień śmierci Elsnera, mówimy z głębi duszy to, co mógł zmarły o sobie sam powiedzieć:

„Non omnis moriar...”

Tak. On nie umarł: dla takich dusz istnieje nieśmiertelność; ich udziałem — życie wieczne.

T. K.



KWIATY I CHWASTY.



Wł. St. Reymonta „Chłopi.” — Maryi Konopnickiej „Moi znajomi.” — Bolesława Prusa „Ze wspomnień cyklisty.” — Kazimierza Chłędowskiego „Siena.”

Przybyła nam nowa powieść chłopska; napisał ją Reymont, p. t. „Chłopi.”

Chłopów odtwarzali w czasach ostatnich: Junosza, Prus, Dygasiński, Sewer-Maciejowski — każdy inaczej, każdy po swojemu.

Klemens Junosza, humorysta, spoglądający na świat i ludzi z życzliwym uśmiechem dobrego, pobłażliwego serca, grzebał się niechętnie w brudach ludzkich. Nawet podłość, lichwę, wyzysk, rozjaśniał humorem. Na wsi, pod strzechą chłopską, szukał głównie typów dodatnich, natur uczciwych, prawych, które malował z szczerą miłością.

Prus, belletrysta i publicysta, wcielił w Ślimaka („Płocówka”) swoje idee społeczne; podniósł chłopca do wyżyn obywatela, walczącego z całą świadomością z wrogim najazdem kolonistów niemieckich.

Dygasiński, nowellista i uczony pozytywny, wyznawca „walki o byt,” uwypuklał żywymi przykładami ową walkę o byt, ilustrując ją brutalnością chłopca.

Sewer Maciejowski, powieściopisarz i ziemianin, znający chłopca z codziennych, ciągłych stosunków, czerpał pełną ręką z życia. W jego powieściach i nowellach przesuwają się cała galeryja typów, ujemnych i dodatnich, tak, jak w rzeczywistości.

W ostatnim psychologu chłopskim, w Władysławie Reymoncie znalazł się, złączył pesymizm Dygasińskiego z realizmem Sewera.

Wiadomo, że utalentowany autor „Ziemi Obiecanej” jest realistą i plastykiem. Siły dramatycznej i daru wypukłego rysunku nie odmówił mu los życzliwy. Z pisarzy młodszych posiada on najwięcej warunków na belletrystę dużej ręki.

Na tło wsi rzucił Reymont znany w świecie chłopskim dramat: wrogi stosunek dorosłych dzieci do starych rodziców, którzy pozbyli się nieopatrznie prawa rozporządzania majątkiem.

Jest na wsi zwyczaj, że rodzice postarzawszy się, przepisują chudobę swoją na dzieci, zastrzegając sobie alimenty. Z tego zwyczaju, bardzo naturalnego, zdaje się, wyrastają tragedye, często bardzo okrutne. Dopóki ojciec lub matka nie oddali majątku dzieciom, obiecuje im się złote góry, smaruje się ich miodem pochlebstwa, chodzi się przed nimi na dwóch łapkach, z chwilą jednak gdy rodzice wracają z dziećmi od rejenta po podpisaniu umowy, zaczyna się „obraz Bozka.” Ojciec lub matka stają się od razu ciężarem syna albo córki: za wiele jedzą, piją, odpoczywają, za mało pracują i t. d. Sądy gmin-

ne są zarzucone sprawami o alimenty, sporami między skarżącymi się rodzicami a krzywdzającymi ich dziećmi. Te spory kończą się często zbrodnią, morderstwem, kryminałem. Cała brutalność pierwotnej natury chłopskiej, nie złagodzonej kulturą, rysuje się najwyraźniej w karczmie i w stosunku dzieci do starych, niedołężnych rodziców.

Boryna — Reymonta był przezorniejszym. Chłop mądry, zamożny, jeszcze krzepki pomimo lat pięćdziesięciu ośmiu, nie miał wcale ochoty oddać się na łaskę i niełaskę dzieci. „Po mojej śmierci weźmiecie wszystko, dopóki jednak żyję, chcę być panem na swoich śmieciach...“ Patrzył przecież niejednokrotnie na nędzny los rodziców, którzy zaufali dzieciom... On nie taki głupi. Jego nie weźmie nikt na słodkie słowa i kłamliwe obietnice.

Rozum ojca nie podobał się oczywiście dzieciom. Klął je w oczy jego dostatek, jego dom murowany, jego morgi urodzajne, jego spasione krowy i ładne koniki. Na co staremu taki majątek?... Im, młodym, należy się dobrobyt, używanie życia, stary niech sobie wypocznie, choćby na cmentarzu... Zmiałkował stary Boryna co się święci, przeto, by pokazać dzieciom, iż nie czuje się jeszcze wcale starym, ożenił się po raz trzeci z hołą Jagusią. Niespodzianka, zgotowana dzieciom przez ojca, wywołała burzę. Syn podniósł rękę na rodzica i t. d. Nastąpiły zwykle bijatyki, nienawiści i zemsty chłopskie.

Ten szkielec powieściowy oplótł Reymont wielkim bogactwem epizodów ilustrujących chłopą, jego całe życie, jego zwyczaje, obyczaje i poglądy. W „Chłopach“ przesuwają się cały szereg typów, szkicowanych tu i ówdzie odręcznie, ale szkicowanych zawsze ryłcem mocnym, pewnym, więc wyrazistych. Trochę może za wiele tych epizodów, szczegółów, przewlekających niepotrzebnie powieść, wszystkie jednak są znakomite.

Swoją niepospolity talent plastyczny, swoją siłę, swój temperament dramatyczny włożył Reymont w rysunek starego Boryny i jego syna, Antka. Jak dwa posągi, wykute z granitu, stoją naprzeciw siebie te dwie postacie, silne ową dziką, pierwotną siłą barbarzyńcy, która łamie bez żadnych względów wszystkie przeszkody. Gdy się takie dwie siły zewrą, rwą się węzły krwi, pękają obręcze etyki, obowiązku, tradycji i powstają owe straszne tragedie chłopskie, które przerażają nawet sędziów kryminalnych, przywykłych do zbrodni wszelkiego rodzaju.

Wszyscy twórcy-realiści, malując chłopą, popełniają zawsze jeden i ten sam błąd. Uniesieni sytuacjami dramatycznymi, nadającymi się więcej do rozwinięcia talentu mocnego, niż „cicha psychologia“ charakterów i faktów dodatnich, podkreślają z upodobaniem strony ujemne natury ludzkiej. Wynika ztąd, że ich chłop robi zawsze wrażenie dzikiej bestii, niepoohamowanej niczem w swoich apetytach egoistycznych.

Tymczasem w rzeczywistości rzecz się ma trochę inaczej. Chłop jest przede wszystkim człowiekiem, jak członek każdej innej warstwy społecznej, czyli mieszaniną pierwiastków złych i dobrych. I po wsiach, pod strzechą słomianą znajdują się dusze czyste, serca dobre, natury prawe, i w świecie chłopskim bywają t. zw. „uczciwe gniazda“, a twórcy-realiści wybierają do swoich obrazów przeważnie ze szczególnym upodobaniem typy z rodziny „człowieka-zwierzęcia.“

Rozumie się, że wszystkie wady i instynkty natury ludzkiej w ogóle, jak: chciwość, zazdrość, gniew, egoizm, zmysłowa miłość, złagodne, trzymane na obroży przez cywilizację, występują na wsi, wśród ludzi, zbliżonych do stanu natury, wyraźniej, jaskrawiej, przejawiają się w czynach brutalnych, gwałtownych, i artysta nie może zacierać konturów ostrych, jak to czynił zawsze Junosza. Lecz tło ponure można rozjaśnić typami dodatnimi. Ro-

bi to tu i ówdzie Reymont, nie tyle jednak, by zrównoważyć wrażenie przykre. Jest on niewątpliwie doskonałym znawcą psychologii chłopskiej i byłby był dał pełny obraz wsi, gdyby był poświęcił więcej miejsca typom dodatnim.

Mimo przesady w malowaniu grozy, dzikości i samolubstwa natury chłopskiej, należą „Chłopi“ Reymonta do najlepszych powieści chłopskich, jakie wydała nasza literatura. Wysoką wartość tego dzieła prawdziwego talentu, podnoszą jeszcze znakomicie odtworzone krajobrazy.

I Konopnicka zagląda chętnie pod niskie strzechy, chłopskie i robotnicze, lecz szuka w nich zupełnie czego innego, jak twórcy-realiści. Serce poetki kocha wszystkich słabych, nieszczęśliwych, wydziedziczonych, lituje się nad ich sieroctwem, współczuje ich poniewierce. Nie egoizmu, chciwości i barbarzyńskiej dzikości szuka życzliwe oko poetki, jeno cichych łez, cichych smutków, bólów i radości. A te ciche łzy i radości umie znaleźć nawet tam, gdzieby ktoś inny dostrzegł tylko zwierzęcy idyotyzm.

Oto np. jej „Ksawery“ („Moi znajomi“, wydanie drugie). Poniewiera się taki sierota na wsi, bez ojca, matki, bez kawałka własnego dachu, bez porządnej służby nawet. Temu pasie świnię, owemu gęsi, gdy potrzeba, pilnuje dzieci i t. d. A za ten trud życia płacą mu łyżką mizernej strawy i jakimś starym, zużyтым gałganem, bo ludzie nazywają go głupim, niedołężnym, bo nie może im dorównać siłą fizyczną, wątły, słabowity.

Pod piórem realisty przeklinałby taki biedak, złorzeczył, starałby się zdobyć podstępem, czego siłą nie może. Ale serce poetki rozjaśniło jego niedolę błyskami jasnymi. Dało mu usposobienie dobre, wdzięczne za wszystko, zadowolone z ubóstwa.

Nawet w sytuacjach brutalnie dramatycznych, w chłopskich tragediach miłosnych umie Konopnicka odnaleźć i podkreślić odblask piękna. Antek zdradza dziewczynę („Maryśka“), która mu oddała serce swoje i część swoją. Zdradza ją dla trzech móg innej dziewczyny, dla jej pierzyny i krowy, co się na wsi tak często dzieje. W pierwszej chwili mści się Maryśka na niewiernym, zabiera mu buty, zabiera mu kartofle z kopca, placąc sobie w ten sposób swoją miłość, ochłonawszy jednak z gniewu, otacza owe zabrane buty, jedyną pamiątkę po ukochanym zdrajcy, czcią serdeczną.

Mówi się dużo o przedmiotowości artystycznej. Ta przedmiotowość jednak właściwie nie istnieje. Każdy twórca patrzy na człowieka i jego otoczenie swoim własnym okiem, wkłada w niego swoją własną duszę. Talent pesymistyczny będzie widział wszędzie cienie i mroki, optymistyczny blaski i uśmiechy; satyryka zajmą rozdzwięki, humorystę śmieszności. Co kto lubi, to będzie badał, podkreślał, odtwarzał. By znać jednostkę do gruntu, trzeba z nią żyć długie lata, widzieć ją w różnych sytuacjach. Jest niemożliwym, aby autor, odtwarzający galerię typów, charakterów, mógł znać wszystkie swoje postacie z doświadczenia osobistego. Fantazja jest główną pomocnicą każdego twórcy, gdzie zaś ta absolutna pani władza, nie może być mowy o absolutnej przedmiotowości. Gdyby obiektywizm artystyczny był warunkiem koniecznym twórczości, byłyby typy i sytuacje tego samego środowiska zawsze do siebie podobne, bez względu na takich lub innych autorów. A przecież patrzy na chłopą inaczej Reymont, a inaczej Konopnicka, jakkolwiek nie przyjdzie nikomu na myśl postawić talent Konopnickiej niżej od talentu Reymonta. Cała różnica polega na tem, że Reymont jest obserwatorem-realistą z podkładem pesymistycznym, Konopnicka zaś poetką. Realista widzi tylko prawdę brutalnego życia, — poetka odczuwa prawdę serca.

Prawdę serca odczuwał zawsze także Bolesław Prus w stopniu bardzo wysokim. Typami nieśmiertelnymi zostaną jego „Antkowie“, „Michałkowie“, chociaż nie wyszli z pod pióra realisty. Człowiek dobry, serdeczny stworzył tych dobrych serdecznych biedaków, tak samo wikwintnych uczuciem, jak najwykwintniejsze dzieci wytwornego środowiska.

Bardzo długo, jak na autora, milczał Prus, bo całych lat siedm. Po latach siedmiu przypominał się publiczności „Wspomnieniami cyklisty.“

Prus był od samego początku nie tylko belletrystą, lecz równocześnie publicystą. Jego „kroniki“ śledziły uważnie prądy i potrzeby chwili, bardzo czujne głównie na ruch społeczny kraju. We wszystkich sprawach żywotnych zabierał Prus głos, a zawsze uczciwie, zawsze z dobrą wiarą. Niema ani jednej plamki na jego czystym piórze.

I przygody swojego cyklisty przeplótł Prus licznymi uwagami natury społecznej, których warto posłuchać, warto bowiem zawsze posłuchać, gdy się stary lew odezwie. Cokolwiekby powiedział, ma znaczenie doniosłe i trwałe.

Kazimierz Chłędowski, niegdyś płodny powieściopisarz, historyk i ekonomista, autor: „Zygmunta Korybuta“, „Królów Bony“, „Albumu fotograficznego“, „Dwóch wizyt w Anglii“, „Alp“, „Zwierciadła głupstwa“, „Skrupulów“, „Eli“ i t. d., wrócił po dłuższej przerwie, spowodowanej zajęciami urzędowymi, do literatury. Do jego dorobku autorskiego przybyła obecnie znakomita monografia włoskiego miasta Sieny.

Monografie średniowiecznych miast włoskich nie mogą być tylko monografiami danej miejscowości, wiadomo bowiem, że te drobne rzeczpospolite, te miniaturowe państewka brały żywy udział w ruchu cywilizacyjnym w ogóle. Historia wieków średnich obracała się około jednej osi, którą był spór o prymat między władzą świecką a duchowną. Papież i cesarz św. Państwa rzymskiego tworzyli historię wieków średnich, posuwając jej punkt ciężkości to w jedną, to w drugą stronę. Państwa i państewka, miasta i miasteczka, narody i rody rozpadały się na dwa wielkie stronnictwa, zwalczające się nawzajem. Na rezultat tej walki, nieraz bardzo zaciętej, wpływały niejednokrotnie miasta włoskie stanowczo, na ich bowiem terytoriach rozgrywały się najczęściej losy stronnictw. Ztąd ich wysokie znaczenie historyczne.

Lecz nie tylko polityka wysunęła miasta włoskie na pierwszy plan historii średniowiecznej. Na ziemi dawnych Italów przechowały się resztki kultury grecko-rzymskiej, zdeptanej przez świeże ludy zdobywcze, resztki skąpe, ubogie, ale dość jeszcze silne, by z nich później wykwitła nowa cywilizacja. Na romańskiej ziemi Prowancyi rozbrzmiał śpiew trubadurów, z romańskich miast włoskich wyszło „odrodzenie.“

Z tych to względów miały miasta włoskie daleko większe znaczenie polityczne i kulturalne, niż rozległe państwa środkowej i północnej Europy. Malując ich dzieje, trzeba potrafić ciągle o ówczesną cywilizację w ogóle. Monografia Sieny, Florencji, Pizy, Genui, Wenecji, nie może się zamykać w granicach historii jednego z tych miast. Rozumiał to Chłędowski i dlatego rzucił słusznie swoje barwne malowidło na płótno szerokie. By odbudować historię polityczną, społeczną, obyczajową, literacką i artystyczną Sieny, ojczyzny Piccolominich i św. Katarzyny, zbadał, przestudyował dwieście dzieł w różnych językach. Pisarz wysokiej kultury literacko-artystycznej, wykształcony gruntownie, stworzył obraz pełny i barwny. Ze spokojem beznamiętnego obserwatora i uczonego, zestawiającego tylko nagie fakty, odmalował Chłędowski Sienę, typ miasta średniowieczne-

go, całe jej życie publiczne i prywatne, nie pominąwszy nawet drobiazgów.

Teodor Jeske-Choiński.



Wróg wojny.



Zakute w pancerze okręty-olbrzymy prze-rzynają fale morskie z szybkością drapieżnych ptaków, rzucających się na łup spodziewany. Białe tęcze, w kabłąkach rzucające kule, wypadają z paszcz armat, aby nieść zniszczenie. W okół okrętów zdradliwe sieci rozsnuły torpedowce-pająki. Łodzie podwodne, miny podwodne czyhają. Fale pienią się, szumią, syczą. Całe piramidy z pian i fal powstałe spadają na pokłady, chwytają ofiary i znów nikną i znów powstają.

Z pokładu „Petropawłowska” patrzy na te, w każdej chwili zmienne, a zawsze straszne obrazy, artysta wielki, Wacław Wereszczagin, co przez całe życie sztuce służył, piękno kochał, a nienawidził największego jego wroga—wojny. Większość prac tego artysty, to walka przeciw wojnie, to cykle pełne tragicznej grozy z tych chwil, cykle, które są wymownym protestem przeciw jej barbarzyństwu, które opowiadają o jej dzikości, ale nigdy brawury wojennej nie idealizują.

...Wróg wojny patrzy smutnym wzrokiem z „Petropawłowska” na straszne obrazy, aby mieć nowe dokumenty do nowych protestów.

...Wróg wojny patrzy smutnym wzrokiem na straszne obrazy i porównywa je z temi, które już widział i w czasie kampanii turkiestańskiej i w r. 1877 na Bałkanie. Ta morska wojna jeszcze okropniejsza! Ziemia, gdy nań padnie ranny, ma litość, morze nie zna litości; rannych zabija, na zdrowych zagładę nawet czyha, wyciąga po nich żarłoczne ramiona—bałwany. Straszne!

Wróg wojny patrzy smutnym wzrokiem na te okropności.

Nagle huk, szum stłumił jakiś huk-olbrzym; dumny statek się zachwiał, z morskich fal tuż przed okrętem piramida wodna nagle urosła, nad maszty wyższa...

...Jednym z najgenialniejszych obrazów Wereszczagina, to „Apoteoza wojny:” prze-rażająca straszna piramida z czaszek ludzkich—ofiar wojny. Artysta poświęcił ten obraz „zdobywcom czasów przeszłych, teraźniejszych i przyszłych.” Wspaniała protest! Nawet „wojna” Stucka, to straszne pole, zasiane trupami, które depce jakiś apokaliptyczny koń, mniejsze sprawia wrażenie, niż pełna bolesnej ironii apoteoza Wereszczagina.

...Statek się zachwiał, wyleciał w powietrze; wroga wojny zabiła wojna.

Telegramy z Portu Artura przyniosły wiadomość, że w skutek zatonięcia „Petropawłowska” zginął też artysta malarz, Wacław Wereszczagin. Wiadomość niestety już sprawdzona. Wielka strata dla sztuki.

Wereszczagin prócz cyklów z wojny, których wartość stawia go w rzędzie najlepszych malarzy świata, pozostawił bardzo cenne, wysoce artystycznie wykonane „wnętrza”, oraz pełne poezji cykle z życia Chrystusa.

...Tragiczny zgon!.. Wroga wojny zabiła wojna, ale protesty mistrza przeciw okrucieństwom wojny mają życie nieśmiertelne.

Gilbert.



A. B. de Guerville.

Szkice z Japonii.



V.

Na dworze w Tokio.

Przed laty czterdziestu, zanim cywilizacja europejska przeniknęła do Japonii, były tam dwa osobne dwory.

W Kioto, dawnej stolicy, przebywał mika-do, żyjąc skromnie, biednie nawet, w zapomnieniu, odsunięty od wszelkich spraw państwowych.

W Yeddo, przemianowanem obecnie na Tokio, panował przywłaszczyciel *szogun*, prowadzący dwór świetny, podtrzymywany przez arystokrację. Ta dzieliła się na dwie grupy, złożone z *samurajów*, czyli szlachty, mającej prawo do noszenia szabli (nosili je po dwie nawet), oraz *dajmiosów*, czyli możnowładców i wielmożów, posiadaczy rozległych włości.

Wiadomo, że pewnego dnia młody mika-do (obecny cesarz) mając już dosyć bezczynności, postanowił tron odzyskać. Wystosował do swego ludu piękną odezwę; w orszaku wiernych dworzan i stronników opuścił stary zamek w Kioto i do Yeddo wyruszył, zdecydowany walczyć o władzę na śmierć i życie.

Naród odpowiedział na jego wezwanie, tysiące samurajów i dajmiosów opuściło szoguna i poszło pod sztandary prawowitego władcy. Walka była zawzięta, koniec końców mika-do zwyciężył, osiadł w Yeddo, przemianował je na Tokio, a sam przyjął tytuł cesarza. Jego ministrowie, ci nawet, których najbardziej raziły dążności postępowe szoguna, zgodzili się podpisać traktaty handlowe z mocarstwami europejskimi. Z dnia na dzień Japonia zapalała żądzą przyjęcia naszej cywilizacji, naszych obyczajów.

Rezultatem owego dążenia było zeuropeizowanie armii, marynarki, utworzenie parlamentu, ministerjów, senatu, uniwersytetów i t. p.

Zaprowadzanie tych doniosłych reform pozostawiło jeszcze dość czasu cesarzowi do zajęcia się przekształceniem dworu i hierarchii społecznej. Skasował tytuł samurajów i dajmiosów, zastępując je nowoczesnymi tytułami: książąt, margrabiów, hrabiów, wicehrabiów i baronów. Jeśli w sprawach marynarki Japonia wzorowała się na Anglii, to w sprawach dworskich naśladowała Tuilerye, gdzie Eugenia, przy boku Napoleona III, roztaczała blask cudnej kobiety i wszechwładnej monarchini.

I któżby przypuścił, że po trzydziestu latach znikną Tuilerye, a dwór w Tokio, coraz świetniejszy, przez kontynent azyatycki podarę dworowi w St. James?

Nowy pałac cesarza w Tokio jest bardzo piękny i urządzony wedle ostatnich wymagań komfortu.

Miałem sposobność kilkakrotnie widzieć parę monarszą; po raz pierwszy wezwany przez cesarza na konferencję. Pałac był illumino-

wany potokami elektrycznego światła. Nadrada odbyła się w sali, której przedziwne drzwi lakowe przedstawiały wartość kilkakroć stu tysięcy franków.

W pierwszym rzędzie były ustawione dwa fotele dla ich cesarskich mości, a za niemi krzesła dla dam, dostojników cywilnych i wojskowych.

Przedstawił mnie minister dworu, wicehrabia Hijikata.

Cesarz nosi włosy dość długie, wąsy i na-oleonkę. Miał na sobie ciemny mundur, podobny do munduru wyższych oficerów francuzkich.

Cesarzowa ubrana była po europejsku, bardzo wytwornie, jak zresztą wszystkie damy dworu.

Ich Cesarskie Mości słuchali z zainteresowaniem moich wyjaśnień o wystawie Chicagowskiej, licznymi pytaniami dając dowód, że sprawy europejskie i amerykańskie nie są im obce.

Podziękowawszy mi — on kilku uprzejmymi słowami, ona — uśmiechem, para monarsza oddaliła się, mnie zaś wprowadził do ogromnej sali wice-hrabia Hijikata. Był tam stół, zastawiony wspaniale srebrem, kryształami i przyozdobiony kwiatami.

Służba w haftowanych liberyach i jedwabnych pończochach (wszak mówiłem: istne Tuilerye) podawała wyborną kolację, sporządzoną przez kucharza-Francuza. Wina i likiery były najlepszych marek, cygara przednie.

W parę dni potem miałem sposobność widzieć Ich Cesarskie Mości na *garden-party*, wydanem przez nich z powodu święta „kwitnących wisien.”

Japończycy, rozmiłowani są we wszystkim, co piękne, a więc i w naturze; ustanowili święta na cześć wszystkich pór roku i wszelkich kwiatów. Najpiękniejsze przypada na wiosnę: uroczystość kwitnących sadów wiśniowych, oraz na jesieni—uroczystość chryzantemów.

Nie zdarzyło mi się nigdzie oglądać tyłu drzew wiśniowych, co w Japonii. W Tokio całe ulice i aleje wysadzone są niemi, a gdy zakwitną parki, zachwyconemu oku przedstawia się jakby blado-różowa chmura, osłaniająca żywą zielen. (Te olbrzymie drzewa pokryte są bajecznie dużymi kwiatami, nie wydającymi owoców).

Jeno park, jednym z największych w stolicy, ma istny las drzew wiśniowych—w epoce kwitnienia, tysiące niskich stoliczków, pokrytych jaskrawymi serwetkami, oczekują pod temi drzewami na gości, którzy od rana do wieczora piją tu herbatę. Niema wcale krzeseł, albowiem Japończycy używają stołów inaczej, jak my: zdejmują obuwie i siadają na nich z podwiniętymi nogami.

Otóż w sezonie kwitnących wiśni cesarska para wydawała *garden-party*.

W gronie zaproszonych, oprócz przedstawicieli dworu, byli członkowie rządu i ciała dyplomatycznego. Ci mają przywilej zapraszania pewnej liczby cudzoziemców, bawiących w Tokio. Mężczyzn obowiązuje mundur albo surdut angielski i cylinder, kobiety przybawają w wykwinnych strojach.

Ale nie wszyscy Europejczycy są o tyle

przezorni, aby wyruszając na Daleki Wschód, zaopatrywać się w cylinder i w paradne toalety.

Zaniechała tego między innymi moja dobra znajoma, piękna Amerykanka pani D. G., znana w Paryżu i w Cannes. Przez cały dzień chodziłem z nią od jednego krawca chińskiego do drugiego, podczas gdy jej mąż z bratem szukali po całym Tokio — dwóch cylindrów. Znaleźli je wreszcie i przybyli na *garden-party*. Ona ślicznie ubrana, *malgré tout*, oni wprawdzie w cylindrach, ale chyba z epoki Robespiera.

Na owem *garden-party* goście zbierali się w parku, u wejścia i czekali przybycia pary monarszej. Wreszcie ukazała się; cesarz był w mundurze generała, cesarzowa — w ślicznej toalecie srebrno-popielatej, jedwabnej.

W otoczeniu całego dworu okrzyki park przy dźwiękach kilku kapeli wojskowych; zatrzymali się pod namiotem, w którym ustawiony był bufet i tu przyjmowali hołdy członków ciała dyplomatycznego, japońskich ministrów i t. d.

Po podwieczorku odjechali powozem a wtedy goście — Japończycy i cudzoziemcy, przypuścili szturm do szampana; lał też się obfitym strumieniem.

Drzewa wiśniowe okwitły już dawno, gdy ujrzał cesarza po raz trzeci.

Było to podczas rewii wojskowej z powodu jego urodzin, o siódmej zrana i to w Listopadzie!

Musiałem wyjść z hotelu o wpół do szóstej; a jako cywilnego obowiązywał mnie frak. Miła historia! Zaproszeni byli tylko członkowie ciała dyplomatycznego i osoby, mające specjalną misję u dworu.

Cesarz kazał na siebie czekać bardzo długo, dygotaliśmy z zimna, gdy raczył wreszcie ukazać się w orszaku generałów i świetnego sztabu.

Defilada dwudziestu tysięcy wojska, znakomicie wyćwiczonego, była wspaniała. Ambasador chiński, przypatrywał się z pogardą tym żołnierzom, którzy mieli niebawem pobić jego ojczyznę.

Na moją prośbę cesarzowa wyznaczyła komitet dam, mających zorganizować oddział pracy kobiet japońskich na wystawie w Chicago. Cesarzowa obiecała ponieść sama koszt, a księżną Mori mianowała przewodniczącą komitetu, w którego skład weszły: margrabina Oyama i Nabeshima, hrabina Inouye, wicehrabina Hijikata, baronowa Sanomija, pani Mutsu, najinteligentniejsze i najdostojniejsze damy dworskie.

Wkrótce potem margrabia Kido, mistrz ceremonii, przybył do mnie z oznajmieniem, że te panie chciałyby się ze mną naradzić.

Posiedzenie odbyło się pod przewodnictwem ks. Mori i trwało cztery godziny: od 3-ej do 7-ej. Przybyło na nie trzydzieści dam wysoce dystygowanych, mówiły kilku językami europejskimi i obradowały z wielkim spokojem, wykazując dużą inteligencję i wielką trzeźwość sądu.

O godz. 7-ej chciałem księżną pożegnać.

— O nie — zawołała — musisz pan być głodny, nie puścimy pana bez podwieczorku.

Wstała, podała mi rękę, na jej skinienie otworzyły się prześliczne drzwi z laki i moim oczom ukazał się stół, zastawiony obficie. W gronie tych miłych kobiet, bawiłem się wybornie.

W parę miesięcy potem, przed moim wyjazdem przybył do mnie margr. Kido i oznajmił, że księżna Mori i damy należące do komitetu, chcą mi się wywdziżyć za wskazówki, udzielane im w sprawie oddziału kobiet japońskich na wystawie w Chicago, pragną mnie zaprosić na obiad czysto japoński w towarzystwie, bawiącego właśnie w Tokio, dyrektora wystawy p. W. i jego żony.

Jestem nieskończenie wdzięczny księżnej za tę ciekawą ucztę.

Panie pojawiły się na niej w strojach narodowych. W pierwszej chwili nie mogłem poznać przybyłych. Co za przepych barw i tkanin! Co za wzory dla malarza! Smutno pomyśleć, że tak wspaniałe stroje zanikają, ustępując miejsca sezonowym modom paryżkim i londyńskim.

Sala jadalna była długa, wązka. Księżna siadła na ziemi, na macie, my obok niej — na poduszkach. Inne damy sznurem wzdłuż sali. Każde danie, a było ich mnóstwo — przynoszono gościowi na osobnej tacce, służącej za stolik.

Potrawy były smaczne i niepodobne zgoła do tych, jakie jadamy w restauracjach japońskich. Po każdym daniu japońskim było drugie, przyrządzane przez kuchmistrza Francuza, a więc pieczone, pasztety, jarzyny i t. p. Księżna obawiała się zapewne, że nam nie będą smakowały jej narodowe potrawy i chciała nas zabezpieczyć od głodu.

Kilka tancerek dworskich w przedziwnych strojach wykonało taniec, zwany „Motylem.“ Miały u ramion skrzydła, które się składały i rozkładały w takt muzyki. Wyglądało to ślicznie.

Pod koniec obiadu wniesiono i położono przed księżną trzy paczki, owinięte we wzorzystą materię jedwabną. Zwróciła się ku nam przemawiając w te słowa:

— Dawniej w książęcych rodzinach japońskich panował zwyczaj wychylania w srebrnej filiżance zdrowia członków rodziny, wyruszających w podróż. Zapraszano przyjaciół na obiad, a pod koniec filiżanka napęczniona winem krążyła od jednego biesiadnika do drugiego, wreszcie dochodziła do podróżnika. Otóż pragniemy dziś wskrzesić ten stary zwyczaj i przed rozstaniem się wypić wasze zdrowie.

Księżna otworzyła paczki i wyjęła śliczne filiżanki srebrne z jej herbami.

Napełniwszy je winem ryżowym saki — umoczyła w niem usta, a po niej wszystkie damy kolejno (nie było ani jednego Japończyka).

Gdy filiżanka doszła do mnie, księżna włożyła ją w jedwabny futerał ze słowami:

— Proszę to przyjąć ode mnie na pamiątkę.

Tłóm. E. Żm.



Przegląd teatralny.



Bohdan hr. Ronikier. — Szczęśliwy debiut. — Temperament dramaturga. — Pierwsze utwory i „Zawód.“ — Niejasność sztuki i jej wady. — Gra artystów. — „Msza majowa“ M. Tarkiewicza.

Kiedy hr. Bohdan Ronikier przed kilku laty po raz pierwszy debiutował, jako autor dramatyczny, wystawiając na scenie teatru „Wodewil“ swoich pierworodnych „Nieszczęśliwych“, wrażenie dramatu było nadspodziewanie dodatnie. Debiutant ujawnił niezaprzeczony talent, poczucie warunków sceny, zwłaszcza zaś ujął sobie słuchaczy świetnym dyalogiem, który miał plastykę słowa żywego, zwartość dosadnych wyrazów i energię przekonywania. Szczery temperament drgał w utworze początkującego pisarza, śmiało wkraczającego do teatru i zabierającego w nim głos z pewnością urodzonego dramaturga.

Krytyka poczyniła swoje zastrzeżenia, zwracając uwagę p. Ronikierowi na różne braki sztuki, przyznała mu jednak talent dramatopisarski i nie poszczędziła zachęty do pracy.

Debiut był uwieńczony niezaprzeczonem powodzeniem.

Młody autor tworzył dalej, lecz nie spieszył się z wystawieniem nowego utworu, co poczytać należy za zaletę: lepiej rzadziej odzywać się do publiczności, byle jej powiedzieć coś świeżego. P. Ronikier nie próżnował przecież, pisał wytrwale i próbował również z powodzeniem sił swoich na polu beletrystycznym.

Po pewnym czasie, ujrzelśmy na scenie jednoaktówkę jego, p. t. „Dla rodu“, stwierdzając raz jeszcze, iż p. Ronikier posiada w sobie dostateczny zasób mocy twórczej, pozwalającej mu pomyślnie rozwijać się w obranym kierunku.

Niebawem nadszedł konkurs im. Paderewskiego, a wpośród wielu utworów ubiegających się o nagrodę, znalazła się tam „Karyera“ Ronikiera.

Sztuka, wystawiona w Rozmaitościach, pomimo starannej gry artystów i przychylnego usposobienia widzów, nie przyniosła świeżych laurów hr. Ronikierowi. Obraz, malujący zgniliznę kilku jednostek ze sfer wyższych, wyglądał tak ponuro, tak czarne przedstawiał sylwetki, iż się do tej monotonii kolorytu oko przyzwyczaić nie mogło i chętnie od niego odwracało.

Pojedyncze rysy nakreślone były wszakże z zacięciem i dowodziły znowu wymownie, iż autor talent posiada, tylko nie uświadomił sobie jeszcze celu swej twórczości dramatycznej i zadań, jakie ma do spełnienia.

Na scenie krakowskiej inny dramat hr. Ronikiera: „Czy warto?“ zdobywa przedtem wielkie powodzenie, a ta nierówna wartość utworów młodego pisarza dowodziła nieskrytykalizowania się jeszcze jego talentu.

Dziwna rzecz, iż talent ten nie może jakoś w locie swym zakreślić szerszego kręgu i wzlecieć wyżej. P. Ronikier dał nam świeżo nową sztukę, p. t. „Zawód“, w zeszłym tygodniu wystawioną w Rozmaitościach i znowu nie podniósł się po nad poziom. Napięcie dramatyczne sztuki ma zamało wewnętrznej energii, psychologia oddzielnych postaci nie posiada dostatecznych fundamentów, barwy użyte do obrazu są za jaskrawe, budowa nieforemna. Autor czegoś pragnął, do czegoś dążył, coś zamierzył, ale tego wszystkiego w sztuce uwydatnić nie zdołał. Chciał, zdaje się, przedstawić tragedję duszy poety, który nie może samodzielnie tworzyć, zrywa się do lotu, i jak Ikar, spada na ziemię, ale tej tragedji w sztuce p. Ronikiera znaleźć niepodobna.

Bohater sztuki, „poeta“ Stefan nie jest zdolny bez pomocy pani Ewy do żadnej pra-

ey literackiej. Przed laty przetłumaczył udanie wiersz Musseta, byłby więc może rozwinął swoje zdolności, gdyby na drodze życia nie spotkał pani Ewy Krupeczyńskiej, która nim zawładnęła niepodzielnie. Rozkaz Ewy jest dla Stefana wszystkim, pod wpływem tej kobiety, poeta przypuszcza, iż, jak orzeł, w chmury uleci. Złudzenie to tylko! Taki „talent“, który wyłącznie podszeptu niewieściego czeka, nie daje żadnej gwarancji swej rzeczywistej siły i niczego po nim spodziewać się nie można: ani on nie wzbija się w górę, ani w nikim zaufania nie wzbudzi. Nikt mu też na słowo nie uwierzy i zapewnienie o talencie na seryo nie weźmie.

Cała ta postać bardziej na karykaturę, niż na prawdziwego człowieka wygląda. Naprawdę Stefan wmawia w nas, iż nie bez Ewy napisać nie jest w możności; on w ogóle do niczego nie jest zdolny, nie zdziała nic i pozostawi po sobie taką samą próżnię, jaka była przed nim i jakiej on nie wypełnił.

Ani jego bezpłodnej myśli nie użyżni miłość Ewy, ani namiętność Geni, do której się następnie zwraca. Stefan przejdzie przez życie, jak przeszedł przez scenę — bez śladu.

Że bohater sztuki jest bezbarwny, to zrozumieć można, ale że autor traktuje go poważnie, że ma co do niego jakiegokolwiek złudzenie, to zrozumieć trudniej. Gdyby p. Ronikier był choć raz jeden w ciągu akcji oświecił daną sytuację promieniem ironii, gdyby był dziwnego swego bohatera zbagatelizował choćby przez chwilę, sztuka nabrałaby pewnej wartości, a jej idea przewodnia dałaby się określić. Tymczasem p. Ronikier ani jednym słówkiem nie upoważnia nas do sceptycyzmu względem bohaterów „Zawodu“, a przez to uniemożliwia ocalenie honoru literackiego sztuki.

Spotkał też ją los, który przewidzieć było można od razu: doznała zupełnej porażki.

„Zawód“ był grany wybornie przez wszystkich artystów, zwłaszcza zaś przez p. Irenę Trapszo, która stworzyła oryginalną, pełną temperamentu, najlepszą w komedii figurę.

Scena teatru Rozmaitości zdobyła nowy obrazek „malowany w słońcu“, p. t. „Msza majowa“ przez Maryana Tatarkiewicza. Autor te swoje jednoaktówki, techną poezją i świeżością, pisze z wielkimi poczuciem stylu i wdziękiem artystycznym.

Jego: „Królowa Bajka“ i „W sieciach satyra“, już dawniej ujęły widza szczerością uczucia i prawdziwego natchnienia; nie mniej uroku posiada i „Msza majowa“, którą strojnie odegrali na scenie p. Tekla Trapszo i p. Roland. W tych kilku scenach czuć powiew wiosny, której tak wszyscy spragnieni jesteśmy...

Adam Dobrowolski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Opera: „Chopin“ Oreficego. — Filharmonia: „Loterya“ Moniuszki. — Wielki koncert historyczny muzyki powszechnej, Vecsey, Dohnanyi, „Raj i Peri“ Schumanna.

Oryginalny pomysł powzięli: muzyk włoski, Jakób Orefice, i poeta, A. Orvieto. Oto zapragnęli oni pomieścić na deskach scenicznych postać Chopina i uplastyczyć myśli i uczucia jego przez podłożenie pod odpowiednie sytuacje muzyki, przezeń stworzonej. W ten sposób powstała opera, będąca niejako komentarzem twórczości Chopina, a zatytułowana nazwiskiem nieśmiertelnego mistrza tonów, która ujrzała po raz pierwszy światło kinokietów w końcu r. 1901 w Medyolanie, gdzie spotkała się z uznaniem słuchaczy wielkimi i niekłamaniem. Uznanie to towarzyszyło jej w dalszej wędrówce po różnych scenach euro-

pejskich, a jak sądzić można z przyjęcia opery przez naszą publiczność, zmieniło się u nas w prawdziwy dla niej tryumf. Cóż wpłynęło na ten tryumf? — zapyta każdy. Oczywiście treść, bardzo blisko nas obchodząca, i muzyka, uwita z cudnych natchnionych melodii wielkiego geniusza muzyki. Przechodząc do omawiania treści „Chopina“ i w ogóle wartości, jaką przedstawia dzieło maestra Orefice'go, nie będziemy tu roztrząsali, czy autorowie „Chopina“, wyprowadzając na jaw życie prywatne nieśmiertelnego mistrza naszego i użytkując dowolnie z pozostałej po nim spuścizny, oddali tem hold, czy dopuścili się profanacji pamięci jego. Kwestya wyprowadzenia na deski sceniczne wielkich światła tego, tudzież wszelkich „przeróbek“ i układów znakomitych kompozytorów na rozmaite instrumenty, śpiew i orkiestrę, nie została dotąd zasadniczo rozstrzygnięta, czego zresztą najlepszy dowód stanowi olbrzymia literatura transkrypcyjna. To też, pozostawiając ją na uboczu, zajmiemy się jedynie rozbiorem, jak i o ile wywiązali się rzeczeni autorowie z zadania. Niezupełnie pomyślnie udało się to twórcy libretta, p. Orvieto. Trzymane w zarysach mglisto-fantastycznych, jest ono bardzo wątpliwe pod względem treści, nie uwidacznia rzeczywiste tragicznych elementów z życia i psychologii Chopina, razi wielu nieprawdopodobieństwami, a grzeszy poważnie ubóstwem akcji. Natomiast autor strony muzycznej, p. Orefice, urzeczywistnił pomysł powzięty wprost znakomicie. W mozolnej swej pracy ułożenia partycji z melodii Chopina, o wiele trudniejszej, niż na pozór wygląda, kompozytor włoski okazał zdolności niepospolite. Potrafił dobrać i pospajać wybornie motywy, należące w oryginale do dzieł różnorodnych i utworzył z nich całość płynną, jednolitą, owianą tchem szerszym, pomimo swej mozaikowości dającą wrażenie całokształtu, gdyż snującą się gładko i zrównoważoną w zupełności w rytmice, w trybach i w nastroju, a utrzymaną w stylu szlachetnym, chwilami nawet bardzo wykwindnym. Opracowaniu tej całości również nie zarzucić nie można. Dokonane z wielkim smakiem, odznacza się stylowością kolorytu, a technie tak wielkiem dla mistrza poszanowaniem, graniczącem niemal z pietyzmem, że cudne melodye Chopina, nietknięte w rysunku, a prawie nienaruszone w formie, nie tracą ze swej siły wyrazu i uroku, będąc powierzone orkiestrze i śpiewakom. Gdy do powyższych zalet pracy Oreficego dodamy nadto i takie, jak: nadzwyczaj harmonijne zespolenie muzyki z treścią słów libretta i sytuacji, nader umiejętne zachowanie stylu w recitativach, wiążących z sobą poszczególne ustępy opery, chwalebne uwzględnienie pierwiastku lirycznego w śpiewie, oraz umiejętne wyzyskanie efektów dźwięczności głosów, zarówno w zespołach solowych, jak i chóralnych, wreszcie bardzo staranną, kunsztowną i subtelną instrumentację, nie nie przesadzimy, nazywając „Chopina“, takiego, jakim się przedstawia, nie bezwartościowym jedynie potpourri z utworów genialnego kompozytora, a arcydziełem sztuki i treści muzycznej. Zwłaszcza, co się tyczy tej ostatniej, to „Chopin“ stanowi dzieło jedyne w swoim rodzaju: najmelodyjniejsze ze wszystkich w całej literaturze muzycznej, takie, które lży z oczu wyciska, w duszę się wraża, czaruje niewypowiedzianie... Najpiękniejsze, najwznioślejsze i najszczytniejsze pomysły nieśmiertelnego mistrza zostały tu spożytkowane przez kompozytora włoskiego. Fantazyje z tematów polskich, nokturn op. 15, mazurek c-dur, barcarolla op. 60 i cudna kołysanka op. 57 w akcie pierwszym, fantazyja op. 49, polonez fis-moll, nokturny op. 27 nr 1, i op. 15 nr 3, preludium op. 28 nr 1 i etiuda e-dur w akcie drugim, polonez es-dur, ballady g-moll i f-dur, preludy d-moll i h-moll, nokturn e-moll i improwizacja op. 51 — w akcie trze-

cim, wreszcie w akcie ostatnim prelud e-moll i nokturny op. 53, 55 i 62 — oto, co składa się na tę treść wiecznotrwałą i nieśmiertelną, owiewającą nas czarem nieopisanym, oplatającą serca nasze i tęsknotą dziwną i ukojeniem, i marzeniem rzewnem, a tak drogą, że słuchać możnaby jej bez końca.

Wykonanie opery powierzono siłom swoim młodszym osobom pań: Luce i Zboińskiej, oraz pp. Leliwy i Grąbczewskiego. Wszyscy ci wykonawcy, czy to, że sami są oczarowani melodyami, z jakimi dotąd nie spotykali się jeszcze na deskach scenicznych, czy też, że wyczuwają subtelnie to olbrzymie wrażenie, jakie niecą wśród słuchaczy — dość, że nigdy chyba nie śpiewali i grali z większym artyzmem, przejęciem się i zapalem, jak to czynią w operze Oreficego. Te ich chwalebne usiłowania artystyczne wraz z zasługującą na najwyższe uznanie pracą chórów i orkiestry, pod wodzą dyr. Podestiego, składają się na całość ze wszech miar udatną, przygotowaną wybornie, wyreżyserowaną starannie i w ogóle godną sceny pierwszorzędnej, a żywo obchodzącą społeczeństwo nasze, jak o tem świadczy wypełniona po brzegi na każdym przedstawieniu „Chopina“ widownia teatru i zachwyt niebываły, panujący stale wśród słuchaczy.

I drugą operę, żywo interesującą nasz ogół, mieliśmy sposobność poznania w omawianym okresie sprawozdawczym, tym razem za sprawą Filharmonii. Na specjalnie urządzonej scenie ruchliwa dyrekcja młodej naszej instytucji muzycznej, wystawiła w całości pierwsze dzieło sceniczne Stanisława Moniuszki, jednoaktową operę komiczną p. t. „Loterya“.

Utwór ten nieśmiertelnego pieśniarza naszego, napisany przed pięćdziesięciu z górą laty, nie należy wprowadzić do dzieł, kreślonych na większą skalę, i nie jest wolny, jak każda zresztą praca młodzieńcza, od wielu braków i usterek. Libretto, pióra Oskara Milewskiego, odznacza się zbyt wielką prostotą, graniczącą oniemal z naiwnością; materiał muzyczny, spożytkowany przez kompozytora, przedstawia się bardzo ubogo i skromnie; to samo powiedzieć można o szacie zewnętrznej, w jaką twórca dziełka swe przyoblekł; w wielu miejscach partycji przebiega aż nadto wyraźny wpływ wybitniejszych kompozytorów ówczesnych szkoły francuskiej (Cherubini, Auber, Adama i in.) w figuracjach, w harmoniach, akompaniamentach, a nawet w zwrotach rysunku niektórych melodii i t. p. A jednak pomimo owej skromności, ubóstwa, i braków „Loterya“ posiada coś, co słuchacza przykuwa i zniewala do wysłuchania dziełka z uwagą szczególną i przyjemnością wielką. To coś stanowi melodyjność opery, płynna i przystępna, a niezrządkiem szczerze natchniona. „Loterya“ bowiem, to prawdziwa krynica melodii. Piękne, wysnute z serca pieśniarza z niezwykłą swobodą i łatwością, owiane powabem istotnego wdzięku i, co najważniejsze, często już wyraźnie uwidaczniające indywidualność swojską ich twórcy, każą one rychło zapomnieć o usterekach pierwszych tych usiłowań artystycznych wielkiego kompozytora, a dzięki liryzmowi szerokiemu i pogodzie nastroju pozwalają przy słuchaniu ich przeżyć niejedną chwilę wrażeń nadzwyczaj miłych i przyjemnych. Za dostarczenie tych wrażeń, zarówno, jak za wydobycie z pyłu zapomnienia tak cennej pamiętki historycznej działalności Moniuszki, należy się Filharmonii wdzięczność szczerą, tembardziej, że przygotowano ją i wykonano z wielką starannością, przynoszącą zaszczyt i dyrekcji, i wykonawcom w osobach: p. Bohuss-Hellerowej oraz pp. Sienkiewicza, Wierzbickiego i Szellera.

Już to Filharmonia nasza w wydawaniu na jaw zabytków historycznych muzyki wszelkiej, szczęśliwą ma rękę. Dowodem tego ol-

brzmie powodzenie koncertów historycznych polskich, o czym w swoim czasie pisaliśmy, sukces, osiągnięty przez „Loteryę,” wreszcie wielkie zainteresowanie, jakie wzbudziły w tygodniu ubiegłym trzy koncerty historycznej muzyki powszechnej, przedstawiające dla poważnych miłośników sztuki tonów urok niezwykły. Uplanowane przy pomocy zasłużonego badacza starożytności muzycznych p. Al. Polńskiego, z programem ułożonym z wybitną znajomością przedmiotu i ze smakiem niepospolitym, objęły one w sobie całkowitą historię muzyki w jej rozwoju dziejowym, dając poznać przez zestawienie licznych utworów, należących do odrębnych okresów twórczości, dokładnie wszystkie fazy postępu, jakim podlegała sztuka w ciągu dwudziestu kilku wieków. A więc, usłyszeliśmy naprzód wspaniałe zabytek starohebrajskiego pieśniarstwa, modlitwę „Mogen,” oraz autentyczny hymn do Apollina, skomponowany przez nieznanego autora greckiego w III-ym stuleciu przed Chr. Muzykę średniowieczną reprezentowały hymny św. Ambrożego (IV-ty wiek po Nar. Chr.) i Notkera Balbulusa (XII-ty w.), oryginalne pieśni trubadów: Châtelain'a de Coucy (XI-ty w.) i Wilhelma de Machault (XIV-ty w.), oraz potężna w wyrazie pieśń pokutna legendowego rycerza-minnesengera turyngskiego, Tannhäusera (XIII-ty w.) późniejszego bohatera opery Wagnera. Zabytków muzyki czasów nowożytnych, usłyszeliśmy utwory mistrzów szkoły niderlandzkiej i rzymskiej (XV-go i XVI-go w.), wyjątki z oper, uwzględniające wszystkie ewolucje, jakim podlegała opera, poczynając od Monteverde'go (początek XVII-go st.), a kończąc na Wagnerze, wreszcie cenniejsze ustępy z dzieł mistrzów muzyki instrumentalnej: Bacha, Haydna, Beethovena, Berlioza, Szumann, Chopina, Liszta i Ryszarda Straussa. Do wykonania tak olbrzymiego programu powołano oprócz orkiestry i chórów wybitne siły wykonawcze, z których pierwszeństwo oddać należy znakomitemu pianiście, Józefowi Sliwińskiemu, wykonawcy utworów z doby romantyzmu i p. Lilian Esten, śpiewacze scen zagranicznych, obdarzonej głosem pięknym i dużym talentem śpiewaczym.

Z powodu innych koncertów, jakimi uraczyła obficie naszych miłośników Filharmonia w miesiącu ubiegłym, wyróżnić nadto należy wieczory, na których poznaliśmy nieznaną dotąd wybitną siłę artystyczną w osobach dwóch Węgrów: 10-letniego skrzypka, Franciszka Vecsey'a i pianisty Ernesta Dohnanyi'ego, oraz ostatni z cyklu t. zw. wielkich koncertów symfonicznych, na którym wykonane zostało przepiękne oratorium Schumann p. t. „Raj i Peri.”

O małym Vecsey'u od pewnego już czasu zaczęły dochodzić nas wieści ze źródeł krytyki zagranicznej, że jest on prawdziwym fenomenem natury, talentem zjawiskowym, którego mierzyć nie można miarką, jaką zazwyczaj stosuje się do oceny nawet „najcudowniejszych dzieci.” Istotnie, rzeczywistość potwierdziła w zupełności ten sąd, jaki młodziutki skrzypek wywalczyć już sobie zdołał w świecie muzycznym. Stał przed nami nie sztuczny wytwór specjalnej metody wychowawczej, powtarzający z większą lub mniejszą dokładnością to, czego nauczyć go zdołała cierpliwość nauczyciela, lecz prawdziwy wirtuoz artysta, świadomy sił swoich i środków, jakimi rozporządza, oraz celu, do jakiego zdąża. Pomijając już to, że Vecsey potrafi pokonywać najzawilsze trudności techniczne ze spokojem, przytomnością i swobodą mistrza doświadczanego, w całym traktowaniu danego utworu ujawnia on takie właściwości organizacji artystycznej, które, ze względu na wiek jego, wprowadzają każdego w zdumienie. Mały Węgier umie odczuwać nastroj kompozycji, cieniować frazesy ze smakiem nadzwyczajnym, grać z wielkim

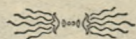
poczuciem stylu, krasić każdą swoją produkcję uczuciem zadziwiającym i temperamentem, hojnie wyposażonym w zapal i werwę. Prawdziwa to zagadka natury, której wielkość uznać i podziwiać musimy, której jednak tajemnicę zbadać i rozwiązać nie potrafimy.

W Erneście Dohnanyim poznaliśmy pianistę, którego bezwarunkowo postawić należy pomiędzy najpierwszymi ze współczesnych wirtuozów gry fortepianowej. Wyjątkowa śpiewność tonu i piękność uderzenia, siła niemal żywiołowa w grze wskrós męskiej, nie wykluczająca wszelako cudnych i subtelnych pianissimo, przypominających niekiedy lekkie drganie strun harfy eolskiej, bajeczna sprawność techniczna, stylowość we frazowaniu, umiejętność wyzyskania wszelkich odciń i kontrastów dynamiki, inteligencja i smak estetyczny, a nadewszystko artyzm szlachetny, zasadzający się na braku absolutnym ugania się za tanim i błyskotliwym efektem—oto zalety wybitnego tego artysty, przyjętego przez nasz świat muzyczny odrzucając z uznaniem wielkim i wyróżniającym.

Na ostatnim z seryi koncertów symfonicznych, jak to zaznaczyliśmy powyżej, wykonane zostało jedno z arcydzieł literatury muzycznej, stanowiące po dziś dzień, pomimo półwiekowego istnienia, prawdziwą ozdobę programów koncertowych w wielkim stylu, poemat oratoryjny Schumann p. t. „Raj i Peri.” Tekstu do przepięknego tego utworu dostarczył wielkiemu muzykowi fragment z poematu Tomasza Moore'a „Lalla Rookh,” opiewający tęsknotę jednego z duchów, zwanych Peri, za utraconym rajem, oraz usiłowania jego dostania się doń z powrotem i odzyskania szczęśliwości wiekuiestej. Prześliczny ten fragment, pełen poezji szczytnej i obrazowości, oraz nastroju podniosłego nadawał się, jak nie można lepiej, do pobudzenia natchnienia Schumann, romantyka, a przytem idealisty, obdarzonego również taką właśnie duszą, tęskniącą do idealów zaświatowych. Zabrał się też do pracy nad ilustracją jego muzyczną z zapalem, wysnuł z duszy najpiękniejsze perły natchnienia, rozsypał je dłońmi hojną po kartach partycyi i stworzył dzieło, tętnące dziwnym jakimś powabem i świeżością, pełną niewysłowionego uroku. „Raj i Peri” zajmuje w literaturze muzyki estradowej stanowisko zupełnie odrębne a osobnione. Styl i środki techniczne, jakich użył wielki kompozytor, okazują wyraźnie, że należy ono do repertuaru okresu romantycznego, duchem wszelako i powagą zbliża się ono znacznie do wznioślejszych tradycji epoki klasycyzmu. Dalej, forma muzyczna dzieła tak jest niezwykła, że nie da się podciągnąć pod żadną ze znanych form utworów tego rodzaju. Operę, przeniesioną na estradę, nazwać „Raj i Peri” nie można; prędzej zaliczyćby można dzieło Schumann do kategorii kantat, lubo wprowadzenie do niego roli opowiadacza, jak w oratoriach, jest elementem, zgoła obcym kantacie. Mniejsza jednak o nazwę, gdy utwór jest oryginalny i wielki, zarówno w swej treści, jak i formie; a takim właśnie jest „Raj i Peri.” Z trzech części, składających się na całość, niewiadomo której oddać pierwszeństwo pod względem piękności. Wszystkie obfitują w melodye cudne, natchnione szczerze, nawskróś oryginalne, z każdej wieje urok marzycielskiego romantyzmu, każda ożywia bogactwo barw delikatnych i przejrzystych, a z poszczególnych cząstek bije taka pogoda, taki wdzięk szlachetny i w liniach i w opracowaniu, że czarowi, wywołanemu przez całość, oprzeć się niepodobna. Przypisać należy, że w wykonaniu wspaniałego utworu niesmiertelnego kompozytora ujawniono wiele dobrych chęci, aby przedstawić go w blasku i świetle należytem. Wykonawcy partyi solowych ze znakomitą śpiewaczką, Niną Faliero-Daleroze na czele, wszy-

scy, z małym wyjątkiem, stanęli na wysokości niezwykle wymagających stylowego dzieła. To samo powiedzieć można o chórach, śpiewających wybornie, i o orkiestrze, cieniującej swą partyę pod batutą dyr. Młynarskiego subtelnie, a chwilami nawet wytwornie.

St. Dziadulewicz.



Kronika działalności kobiecej.



— Z Kassy kobiet.

Letnie mieszkanie dla przepracowanych i potrzebujących odpoczynku uczestniczek Kassy, zostało już przez zarząd Kassy wynajęte w Piasecznie i z dniem 18-ym b. m. rozpoczęły się zapisy kandydatek.

Następujący członkowie protektorzy wnieśli składkę za rok 1904—panie: Bronisława Norblinowa, Helena Makowska, Anna Gellowa, Anna Łojewska, oraz panowie: Adam Herse, Bogusław Herse, Aleksander Feist i Aleksander Mroziński.

Panie: Emilia Kulikowska i Emilia Wasilewska z powodu wycofania swoich składek, zostały wykreślone z listy protektorów Kassy.

— Szwajcaryja. Panna Nelly Favre, która ukończyła uniwersytet w Genewie ze stopniem doktora praw, otrzymała od odnośnej władzy, w kantonie Genewskim, pozwolenie na otwarcie kancelarii adwokackiej i na prowadzenie spraw sądowych. Panna Favre jest pierwszą kobietą-adwokatem w genewskim kantonie.

Z. S.



Nasz ul.



— Dnia 2-go b. m. zmarł w Lublinie ś. p. *Franciszek Modrzewski*, jeden z najzdolniejszych przedstawicieli świata technicznego na prowincyi, b. budowniczy m. Siedlec, w wieku lat 72.

— Dnia 8-go b. m. zmarł w Warszawie ś. p. *Antoni Olesiński*, uzdolniony artysta-rzeźbiarz, w wieku lat 47.

— We Lwowie zmarł znany swego czasu utalentowany powieściopisarz, ś. p. *Wacław Koszczyk*, znany pod pseudonimem Sahi-beja. Wydał kilka powieści, cieszących się powodzeniem („Wybrańcy losu,” „Ład Boży,” „Z tajemnic Wschodu”), pisywał korespondencje ze Wschodu, gdyż przez dłuższy czas pozostawał w służbie tureckiej, jako inżynier dróg i mostów. Odosobniony, zamknięty w sobie, na kilka lat przed śmiercią popadł w melancholię i skończył żywot w szpitalu, w 73-im roku życia. Pisywał pamiętnik, wyrażając w nim swe odrębne przekonania polityczne, które go z ludźmi niejednokrotnie różniły; zniszczył go przed śmiercią, aby ludzie obcy i objętni nie przetrząsali jego myśli i uczuć najgłębszych.

— W tymże czasie zmarł we Lwowie *Emanuel Roński*, długoletni członek palestry lwowskiej, jeden ze znanych adwokatów, w wieku lat 69.

Treść numeru:

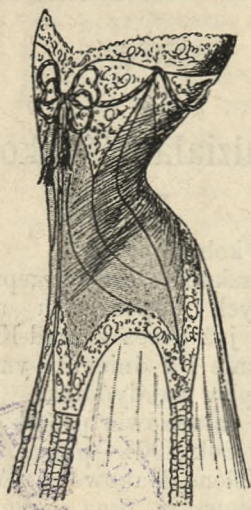
Na codzień, przez Sz. — Pogawędka, przez A. Gliśczyńskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Józef Elsner (w pięćdziesiąt rocznicę zgonu), przez T. K. — Kwiaty i chwasty, przez T. Jeske-Choińskiego. — Wróg wojny, przez Gilberta. — A. B. de Guerville: Szkice z Japonii (ciąg dalszy). — Przegląd teatralny, przez A. Dobrowolskiego. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 17-ty powieści „Miłość moim grzechem.” w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 28). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
ANTONINY PIASECKIEJ
 poleca nauczycieli, nauczycielki,
 bony sprowadza cudzoziemki
 Warszawa, Krak.-Przed. 38.

Magazyn Gorsetów
Aux quatre Saisons
 Wierzbowa 6.



Poleca najświeższe fasony paryskie.

Księgarnia J. Fiszer, Nowy-Świat 9 w War-
 szawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussne-
 ra do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nau-
 ki Języków Obcych, bez nauczyciela z obja-
 śnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

SAMOUCEK:
 Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Ele-
 mentarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs
 I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
 Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24,
 40 i 2.20.
 Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20;
 kurs II-gi rb. 3.20.
 Gramatyka Polsko-Francuska
 kop. 1.20.
 Wypisy Francuskie kop. 80.
 Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75;
 kurs II-gi kop. 1.20.
 Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.
 Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5,
 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—
 kurs II-gi kop. 1.80.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
JAHOŁKOWSKIEJ
 Warszawa, Marszałkowska 118
 poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

Kwiaty sztuczne

J. KIEŁKIEWICZ

Niecała 10.

Otrzymałszy modele paryskie z pierwszorzędných firm,
 polecam w wielkim wyborze:

Piękne kwiaty do kapeluszy, balowe i girlandy ślubne.

Ubieranie żardinier, koszu, wazonów

Wykonanie artystyczne.

Ceny niskie.

FUTRA na letnie przechowanie
 przyjmuje Skład Futer
A. CHOWANCZAKA
 Krakowskie Przedmieście 17. Telef. 34.

Specjalne na ten cel urządzone składy.

Karetką do przywożenia i odwożenia bezpłatnie.

Pismo poranne, codziennie wychodzące, nie wyłączając
 niedzieli

GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej ogłasza,

co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych
 czytelników tak w Warszawie, jakoteż i zamieszkałych na prowincji, od-
 stępujemy od przyjętego zwyczaju liczenia kwartałów: od 1-go stycznia,
 od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i przyjmować bę-
 dziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia miesiąca.

Prenumerata więc może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocz-
 nie w stosunku miesięcznym po 75 kop. w Warszawie i 1 rubla na pro-
 wincyi.

Nadmieniamy, iż „GAZETA WARSZAWSKA“ opuszcza prasę drukar-
 ską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia
 przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między go-
 dziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism popołudniowych) a 5-tą
 zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pociągami rannymi, z większych
 pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55 w WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

PLÓCIENKA, SATYNY, ZEFIRY, KRETONY, PIKI, BATYSTY,
 oraz dreliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne.
 Pledy powozowe, koldry flanelowe i inne. Materiały na derki letnie dla koni.
 Worki, Wańtuchy. Płótno do suszenia chmielu.
Kolorową damską i męską bieliznę.
 Gotowe wyprawy od Rb. 100.

Próby—franco.

Palta nieprzemakalne

otrzymał świeży transport

G. EHLERT,

Senatorska № 19, 1-e piętro

wprost Daniłowiczowskiej.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm
 u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

„Naokoło świata”

Pismo tygodniowe ilustrowane,

poświęcone opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków

Trzeci rok wydawnictwa.

Program pisma. Opisy podróży lądowych i morskich. Arty-
 kuły popularno naukowe z dziedziny przyrodoznawstwa i geografii. Kra-
 joznawstwo ze szczególnem uwzględnieniem kraju własnego. Panorama
 ludów (opisy ludów we wszystkich częściach świata, zwyczajów, wierzeń
 i t. p.). Pogadanki z higieny i medycyny popularnej. Postępy techniki
 i przemysłu. Dla miłośników fotografii. Astronomja amatorska oraz Kro-
 nika esperantyczna

zawierająca wiadomości i informacje o języku Esperanto.

po raz pierwszy wprowadzona w piśmie polskiem.

Warunki przedpłaty:

w Warszawie:

Rocznie rb. 4.
 Półrocznie „ 2.
 Kwartalnie „ 1.

w Królestwie i Cesarstwie.

Rocznie rb. 5 kop. —
 półrocznie „ 2 „ 50
 kwartalnie „ 1 „ 25

Za odnośnienie do domu w Warszawie 15 kop. Prenumerata zagra-
 nią 6 rb. rocznie.

Przedpłatę przyjmują księgarnie oraz Administracja tygodnika
 „Naokoło świata“ Wspólna 71 w Warszawie.

Numery okazowe bezpłatnie.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.

Wydawca: **Piotr Laskauer.**— Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Апрель 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41